

# KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

15-31.V.1962

Nr 9/10 (247/248)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

## PRUS po pięćdziesięciu latach

FELIKS ARASZKIEWICZ

W numerze z dnia 15 grudnia 1961 roku „Kamena” wydrukowała przemówienie przewodniczącego PWRN mgr Pawła Dąbka z okazji otwarcia Muzeum Prusa w dniu 3 grudnia 1961 r., które było inauguracją tegorocznych uroczystości jubileuszowych ku czci Prusa. Poniżej publikujemy tekst przemówienia prof. dr Feliksa Araszkiwicza.

Red.

Nawiązując do ostatnich słów wypowiedzianych przez Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej — mgr Pawła Dąbka chcę przede wszystkim podkreślić ogromne zasługi Przewodniczącego w tym dziele, które dziś doszło do skutku, mianowicie oddania należnej czci Bolesławowi Prusowi. Teraz wymienię tylko informacyjnie instytucje i nazwiska ofiarodawców w porządku alfabetycznym oraz nazwiska tych osób, które najczynniej koło organizacji Muzeum się krzątały.

Ofiarodawcy: Muzeum Narodowe w Warszawie pod dyrekcją prof. dr Stanisława Lorentza, Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, Biblioteka Katolicka Uniwersytetu Lubelskiego w Lublinie, Instytut Polsko-Radziecki w Warszawie, Polskie Towarzystwo Esperantystów w Warszawie, Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie, Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Lubartowskiej w Lubartowie; osoby — panie i panowie: Michałina Baranowska — Łódź, Maria i Tadeusz Borkowscy — Lublin, Jerzy Dunin-Borkowski — Krośnice, k/Kutna, Jerzy Ciszewski — Warszawa, Stanisław Fischer — Bochnia, Janina Juszkiewiczowa — Warszawa, Emilia Kapaonowa — Warszawa, ks. Mieczysław Miszczyk — Chełm Lubelski, Antoni Ojrzyński — Warszawa, Helena Porębska — Gdańsk-Wrzeszcz, Wiktoria Pawłowska — Naleczów, Gabriela Pauszer-Klonowska — Warszawa, Stanisław Rutkowski — Siedlce, Ewa Szelburg-Zarembina — Warszawa, Krystyna Tokarzówna — Instytut Badań Literackich w Poznaniu, Monika Warneńska — Warszawa; z zagranicy: Towarzystwo Współpracy Kulturalnej z Zagranicą — ZSRR, Tbilisi, Helena Tejgová — CSRS, Praha, prof. dr Alfred Loepfe — Szwajcaria, Lucerna, prof. E. L. Mazurek — Kanada, prof. dr Kujo Kujev — Bułgaria, Sofia, Istvan Mészáros — Węgry, Budapeszt.

Nazwiska osób, które bezpośrednio włożyły dużo trudu do samej organizacji Muzeum: rzeźbiarz Eugeniusz Baranowski z Lublina, Stefan Butryn — Naleczów, Stanisław Fita — Lublin, dyrektor Muzeum w Lublinie mgr Irena Iskrzycka, Tadeusz Klak — Naleczów, Wiesław Malicki — Naleczów, artysta plastyk — Eugeniusz Pol, Krystyna Postawka, dyrektor Piotr Przy-



BOLESŁAW PRUS W R. 1881

bylik w pierwszym stadium organizacji Muzeum, Jan Urbanowicz, wielu pracowników administracyjnych oraz fizycznych zarówno z Muzeum Lubelskiego, jak i z Naleczowa.

Na tym kończy się ta informacja, która jest uzupełnieniem poprzedniego przemówienia pana Przewodniczącego PWRN Pawła Dąbka.

Następnie trzeba sobie uprzytomnić, że Muzeum Prusa, to małe, skromne muzeum, które dziś otwieramy, jest jednak pierwszym muzeum Prusa w kraju, stąd waga tego faktu, dokonanego na kilka miesięcy przed 50 rocznicą zgonu autora Lalki. Oczywiście trzeba pamiętać, że drugie to muzeum w Naleczowie (obok posiadającej zupełnie inne oblicze „Chaty Zeromskiego”) ma charakter potrójny: 1) literacki, 2) monograficzny w stosunku do Prusa, jeżeli chodzi o jego życie i twórczość, 3) regionalny, tzn. uwzględniający wszelkie powiązania Prusa z różnymi miejscowościami Lubelszczyzny na ile oczywiście całokształtu jego życia i twórczości. To skromne Muzeum może mieć jeszcze jedną cechę. Od strony naukowej zaletą jego jak mi się zdaje — jest należąca dokumentacja, ma ono sporą ilość oryginałów zarówno w rękopisach, jak i w innych pamiątkach, i zawsze należyte udokumentowane fotokopie. Muzeum to nie jest zamknięte, będzie się rozwijało dalej, ma przed sobą perspektywę właśnie dlatego, że posiada tego rodzaju charakter, jak wymieniałem. Będzie się rozwijało stopniowo, powoli, bez pośpiechu w muzeum wiedzy o Prusie, a więc w dalszym ciągu w dziale poszukiwań tekstów Prusowskich, rękopisów i wydań oraz

uzupełnień wszelkiego rodzaju różnorodnych przekładów. Mamy wprowadzić już dziś sporo przekładów zgromadzonych (z nazwisk tłumaczy wymienionych na wstępie mogli na to państwo zwrócić uwagę), ale to jest początek. Nasze Muzeum czeka przyszłość, czeka twórcza praca dla kustosa. Następnie zgromadzenie opracowań, które będą się zjawiały w kraju czy za granicą, bądź stąd nawet z Naleczowa będą inicjowane, a trzeba pamiętać, że w placówce poznańskiej buduje się teraz calendarium życia i twórczości Prusa nie bez współdziałania czynników pracujących naukowo na naszym terenie.

Następnie jeszcze jedna rzecz niezmiernej wagi. W związku z ciężkimi wstrząsami, jakie często nasz naród przechodził, nauczeni doświadczeniami musimy zabezpieczyć się, jeżeli chodzi o fotokopie i facsimile wszelkiego rodzaju zbiorów, w danym wypadku dotyczących Prusa, znajdujących się w różnych częściach kraju, m.in. znajdujące się w dużych ilościach rękopisy, autografy Prusa w Bibliotece Publicznej w Warszawie, mikrofilmy, — abyśmy nie zostali w sytuacji, w razie jakich kataklizmów dziejowych, że coś nam zginie z tych cennych rzeczy bezpowrotnie. Przynajmniej muszą zostać mikrofilmy. Może to jest zbędna ostrożność, ale nadmiar roztropności nie zawadzi. W tym kierunku gromadzenie tego rodzaju materiałów już się w naszym Muzeum rozpoczęło i będzie nadal kontynuowane. Naturalnie wśród tych materiałów przyszłość Muzeum

(Dokończenie na str. 10)

MAJ jest u nas miesiącem szczególnego nabożeństwa do kultury. Święcimy Dzień działacza kulturalnego, Dzień bibliotekarza, w ogóle Dni Oświaty, Książki i Prasy, innymi słowy także dni pisarza. Nawet są to właściwie par excellence jego dni. Zageszczone spotkania autorskie, kiermasze, festiwale przyczyniają się bez wątplenia w ten lub inny sposób do spotęgowania glorii literatury, a już najczęściej robi dla niej Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, który może stać się w sprzyjających warunkach istnym laickim „Wszystkich Świętych” na cześć pisarzy żyjących i nieśmiertelnych. W jakiej mierze nim się staje rzeczywiste — powiedzieć zdołamy dopiero po przyjrzeniu się repertuariowi rzeczonoż Konkursu choćby na jednym z odcinków zwanych turniejami wojewódzkimi.

## PISARZE NA TURNIEJU

MARIA  
BEHCZYC-RUDNICKA

A więc dokonajmy tej skromnej analizy nie zwlekając, sprawa jest ważna zarówno ze względu na pietyzm i pamięć narodową dla twórców, jak i na dobro tych, dla kogo sympozjony mają być przeznaczone. Czytamy przecie w Regulaminie IX Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego następujące sformułowania:

Ogólnopolski Konkurs Recytatorski jest masową imprezą artystyczną mającą na celu:

— podnoszenie •kultury mowy ojczyźnej przez budzenie zamiłowania do czytelnictwa i do recytacji artystycznej,

— upowszechnienie i pogłębienie znajomości arcydzieł klasyki narodowej i ogólnoludzkiej oraz współczesnej literatury pięknej i społeczno-politycznej,

— ułatwienie kontaktów szerokiego kręgu odbiorców z twórcami i popularyzowanie aktualnych najcenniejszych pozycji wydawniczych.

Nie trzeba tedy dowodzić, że problem repertuaru jest problemem kluczowym omawianej imprezy. Podzielię się więc tutaj pewnymi uwagami z tego zakresu, które mi się nasunęły w czasie pracy jury IX turnieju wojewódzkiego w Lublinie.

Moje dość dokładne obliczenia pozwalały mi stwierdzić, że na tym wielkim popisie doszło do głosu 75 znakomitych i wybitnych pisarzy oraz ponad 30 autorów mało znanych lub podpisanych kryptonimami. Jeśli się przy tym zważy, iż mieliśmy 133 recytatorów, to trzeba będzie przyznać, że poświęcili oni swój trud pokaźnej liczbie twórców. Jest to niewątpliwie dodatni rys tegorocznego współzawodnictwa recytatorskiego w Lublinie. Ale przejdźmy do dalszej charakterystyki.

(Dokończenie na str. 15)

# O NOWĄ DYNAMIKĘ SPOŁECZNĄ

EDWARD NADULSKI

Fragment przemówienia kierownika Wydziału Kultury PWRN w Lublinie na otwarciu Międzywojewódzkiej Narady Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych, w dn. 28—29 marca br. w Lublinie.

Od ostatniej ogólnopolskiej narady stowarzyszeń regionalnych upłynęły dwa lata. Polityka ogólnopolska poszła w kierunku pogłębienia decentralizacji, co wyzwoliło jeszcze bardziej siły społeczne, pobudziło do podejmowania wielu lokalnych inicjatyw na bazie szerokiej polityki ponadlokalnej.

Rozwijający się ruch regionalny znalazł się na skrzyżowaniu dróg. „Sprawa regionalizmu opartego tylko o kulturę ludową, folklor i zabytki jako naczelną układy wartości” stała się przedmiotem dyskusji. Procesy integracyjne stopniowo przenikają poprzez odrębności regionalne. Folklor i tradycje historyczne nie będą z czasem decydować o więzi lokalnej, będą natomiast pomagały do zrozumienia własnej historycznej drogi, historycznej genealogii teraźniejszości, przyczyniając się do lepszego zrozumienia jej perspektyw.

Zespolenie historii z współczesnością także, aby istotnie stanowiły one całość spójną i piękną, jest punktem wyjścia dla nowego ruchu regionalnego.

W różnych zakątkach naszego kraju powstają coraz liczniejsze ośrodki żywej, twórczej myśli. Inicjatywy i działania. Obok wielkich masowych organizacji społecznych — związków zawodowych, organizacji młodzieżowych, spółdzielczych, kółek rolniczych, i innych — rozwija się działalność około 400 towarzystw regionalnych i lokalnych, około 2.000 domów kultury i świetlic, rozlicznych klubów i grup działających często w pojedynkę.

Polityka kulturalna w naszym kraju zmierza do jak największej aktywizacji przede wszystkim wsi i małych

miast. Wiele z nich znamionuje jeszcze zastój intelektualny i kulturalny. W wielu miastach powiatowych brak porządnej czytelnicy, domu kultury czy klubu. Ciągłe jeszcze za mało jest uniwersytetów powszechnych. Większość odczytów wygłasza się w ośrodkach dużych — na wsi lub w małym miasteczku prelegent pojawia się dość rzadko.

Mimo coraz szerszego rozwoju sieci bibliotek, kin, radiofonii, a nawet telewizji, nie jesteśmy w stanie zaspokoić rosnących potrzeb kulturalnych poszczególnych środowisk, ani podjąć rozbudowania umysłowych i zaniedbanych i mało aktywnych wsiach i miasteczkach.

Palącą koniecznością staje się sprawa rozładowania zahamowań aktywności życiowej i kulturalnej wśród inteligencji coraz liczniej przybywającej do małych miast, a wapiącej w sens zaangażowania się w pracę społeczną. Sprawa ciągle aktualna jest jeszcze niedostateczne zaangażowanie się kulturalno-społeczne wśród młodzieży, a niekiedy i starszej generacji.

Przed ruchem społeczno-kulturalnym wyrasta zasadniczy problem — wychowania ludzi zdolnych żyć na poziomie nowoczesnej cywilizacji i zarazem przyczynić się do dalszego jej rozwoju.

Wielki cel wychowanie człowieka, jego kształtowanie przyświeca nowemu ruchowi regionalnemu. Wśród powodów form i założeń organizacyjnych nie możemy zgubić tego celu, którego realizacji poświęcony został cały nasz wysiłek kulturalny i oświatowy.

Musimy dbać o stworzenie takich warunków, aby każdy miał możliwość na swoim terenie poza szkołą podstawową kształcić dalej swój umysł, podnosić swój poziom kulturalny, rozumieć sens swego życia i przeżywać je wspólnie z najbliższą grupą ludzi, ze swoim otoczeniem, nie ztracając jednak spojrzenia na szerszą ideologię wspólnoty terytorialnej.

Obserwujemy w chwili obecnej na Ziemi Lubelskiej niewątpliwie powstawanie wielu nowych inicjatyw społecznych, rodzenie się nowych faktów i wydarzeń kulturalnych.

Na Lubelszczyźnie działa i pracuje 20 regionalnych towarzystw lokalnych, związanych czy to z określonym terenem (np. Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Lubartowskiej, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łukowskiej, Koło Białczan), czy z instytucją (Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki im. H. Łopacińskiego, Towarzystwo Opieki nad Majdankiem), czy też z określoną dziedziną sztuki lub nauki (Towarzystwo Śpiewacze „Echo”, Klub Twórców Ludowych, To-

(Dokończenie na str. 12)

# Lubelskie książki o PPR

**B**IBLIOTEKA Społeczno-Polityczna, która jest wynikiem współpracy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie i Wydawnictwa Lubelskiego, doczekała się ostatnio skromnego jubileuszu — wydania kolejnego dziesiątego tomiku, zamykającego pierwszą serię publikacji poświęconych dziejom ruchu robotniczego i postępowym tradycjom naszego regionu.

Tą jubileuszową pozycją jest praca sekretarza propagandy KM PZPR w Lublinie — tow. Eugeniusza Mysłowskiego pt. „Z dziejów PPR, GL i AL w powiecie puławskim (1942—1944)”.

Już sam wybór terenu zasługuje na podkreślenie, właśnie powiat puławski ma w swej historii bardzo bogate tradycje walk o wyzwolenie społeczne i narodowe. Tu przecież działał ksiądz Piotr Ściegienny, tutaj organizował kółka socjalistyczne wśród młodzieży akademickiej i robotników Ludwik Waryński, tu także działał w postępowym ruchu młodzieżowym Andrzej Strug. A trudno nie wymienić jeszcze przynajmniej takich nazwisk: Feliks Dzierżyński, Stefan Żeromski, Bolesław Prus, Irena Kosmowska, Faustyna Morzycka i inni. Trzeba też stwierdzić, że te piękne tradycje znalazły również piękną kontynuację w okresie niewoli hitlerowskiej. Temu też problemowi poświęca Eugeniusz Mysłowski swoją pracę, ukazując dzieje PPR, GL i AL w oparciu o wyjątkowo bogate materiały, o czym świadczyć może fakt, że na blisko pięćdziesięciu stronach pracy znalazło się około 170 przypisów. Warto podkreślić, że autor oparł się nie tylko na źródłach drukowanych, ale również na bogatych archiwaliach i zbieranych przez siebie relacjach ustnych. Praca Eugeniusza Mysłowskiego wyróżnia się syntetycznością, solidną dokumentacją i ogromną ilością nazwisk, dat i faktów. Autor kreśli dzieje PPR w sposób bardzo logiczny, wychodząc od oceny sytuacji gospodarczej powiatu przed wybuchem wojny, przypomnienia jego postępowych tradycji, ocenając wreszcie politykę okupanta i jego stosunek do społeczeństwa polskiego, a szczególnie Lubelszczyzny. Ważne jest i to, że dzieje PPR w powiecie puławskim przedstawione są na tle działalności PPR na terenie Lubelszczyzny, a nawet całego kraju. Na specjalne podkreślenie zasługuje zebranie przez autora dużej liczby danych dotyczących akcji zbrojnych organizowanych w latach 1942—1944 przez GL i AL\*).

**J**AKO druga książka poświęcona dziejom PPR ukazała się również w ramach Biblioteki Społeczno-Politycznej (XI tom, otwierający nową serię publikacji) praca I sekretarza KW PZPR — tow. Władysława Kozdry, pt. „Z dziejów PPR na Lubelszczyźnie”. Jest to referat wygłoszony na Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzkiego Komitetu FJN z okazji XX-lecia powstania PPR, publikowany wcześniej w „Sztandarze Ludu” i „Kurierze Lubelskim”.

„Z myślą o młodym pokoleniu budowniczym socjalizmu, a nam starszym dla jeszcze lepszego uzmysłowienia sobie wielkości sił PPR” — autor przedstawia cztery zasadnicze problemy:

- 1) udział PPR w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe kraju,
- 2) rolę PPR i jej osiągnięcia w walce o zwycięstwo władzy ludowej.

dany został do użytku na wystawie czasowej i udostępniony zwiedzającym. W ciągu minionego kwartału zorganizowano 6 wystaw zmiennych, które cieszyły się bardzo wielkim zainteresowaniem wśród licznych zwiedzających. Obecnie gotowe są już pozostałe sale pierwszego piętra, gdyż urządziła się duża wystawa związana z XX rocznicą powstania PPR. Ponadto uporządkowana i udostępniona zainteresowanym została naukowa biblioteka i czytelnia Muzeum oraz odpowiednia sala na zebrania naukowe i odczyty publiczne. W tej sali odbyło się ostatnio w związku z 100-leciem Muzeum Narodowego w Warszawie kilka odczytów, które zorganizował Dział Naukowo-Oświatowy Muzeum i

3) historię lubelskiej wojewódzkiej organizacji PPR,

4) tradycje PPR i kontynuację jej dzieła przez PZPR.

Zgodnie z tytułem pracy, najwięcej miejsca poświęcił autor dziejom PPR w naszym województwie, podkreślając, że powstanie PPR nie było dla Lubelszczyzny zaskoczeniem, wprost przeciwnie — działała na terenie naszego regionu liczne komórki komunistyczne i kiedy 5 stycznia 1942 r. powstał w Warszawie Komitet Centralny PPR, Lubelszczyzna była w pełni przygotowana do walki. Dowodem tego może być fakt szybkiego zgłoszenia się do PPR Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej w powiecie krańcickim, a także błyskawiczne tempo, w jakim powstały komórki PPR w Lublinie, Lubartowie, Puławach, Białej Podlaskiej, Włodawie i innych miastach. Władysław Kozdra nie ogranicza się do odnotowywania faktów świadczących o rozwoju PPR w naszym województwie, często sięga do sylwetek działaczy ruchu oporu, przypominając ich cenny wkład w zwycięstwo nad okupantem. Praca Władysława Kozdry zasługuje we wszech miar na słowa uznania przede wszystkim dlatego, że autor potrafił zespolić bogactwo materiałów, dokumentów historycznych, faktów, dat i nazwisk w bardzo przystępną, literacką formę, co w efekcie czyni z tej pracy publikację popularno-naukową, którą z równym powodzeniem może przeczytać człowiek wykształcony, jak też nie mający specjalnego przygotowania. Wartość książki podnoszą wkładki zawierające 38 zdjęć dokumentalnych i reprodukcji prasy konspiracyjnej, odczw itp. Wydaje się, że ta cenna innowacja powinna towarzyszyć następnym publikacjom, przyczyniając się w ten sposób do ich uatrakcyjnienia\*\*).

Warto też zwrócić uwagę na sprawę nakładu obu książek. Zarówno dotychczasowy nakład powtarzający się przy 10 pierwszych tomikach BSP — 1000 egzemplarzy, jak i nakład pracy tow. Wł. Kozdry — 3.000 egzemplarzy — nie gwarantuje powszechnienia niewątpliwie bardzo cennych pozycji. Książek tych, mimo bardzo przystępnej ceny (4 zł), nigdzie nie można kupić. Nie są one bowiem w ogóle przekazywane do sprzedaży w sieci księgarskiej „Domu Książki”. Do czytelników docierają tylko za pośrednictwem komitetów partyjnych. Nad zmianą tego stanu rzeczy należałoby niewątpliwie podyskutować. Skoro chcemy upowszechnić wśród szerokiego rzesz społeczeństwa wiedzę o postępowych tradycjach naszego regionu, a szczególnie dziejach PPR, należy doprowadzić do tego, by niezależnie od kolportażu partyjnego, książki Biblioteki Społeczno-Politycznej trafiły na półki księgarń czy do kiosków „Ruchu”, co pozwoliłoby każdemu czytelnikowi na ich kupno. Byłoby także pożądane, aby Kuratorium OSŁ zainteresowało się tymi publikacjami i zaletociło szkołom lubelskim do wykorzystywania na lekcjach historii i języka polskiego.

Elżbieta Rosiak

\* Eugeniusz Mysłowski: Z dziejów PPR, GL i AL w powiecie puławskim (1942—1944). Lublin 1962, Wydawnictwo Lubelskie, s. 55, 5 nłb. Cena zł 4.—. Biblioteka Społeczno-Polityczna. Tom X.

\*\* Władysław Kozdra — Z dziejów PPR na Lubelszczyźnie. Lublin 1962, Wydawnictwo Lubelskie, s. 33, 4 nłb. + 8 wkładek kredowych. Cena zł 4.—. Biblioteka Społeczno-Polityczna. Tom XI.

Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki. Tu również stale, co tydzień, wyświetlane są filmy oświatowe, odbywają się posiedzenia różnych towarzystw naukowych.

O ile idzie o rozwój placówek muzealnych na terenie województwa rzeszowskiego — to jest on dość korzystny. Oprócz Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, są w naszym województwie jeszcze dwa muzea państwowe, podległe bezpośrednio Wydziałowi Kultury Prezydium WRN, a to: Muzeum Wnętrz na Zamku w Łańcucie i Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanku. Ponadto istnieje tu pięć państwowych muzeów regionalnych, pod-

(Dokończenie na str. 14)

## CZWÓRPOROZUMIENIE NASZYCH MUZEÓW

FRANCISZEK BŁOŃSKI

zealnych istniejących w tych czterech województwach.

Najpierw odbyła się w listopadzie ubiegłego roku narada przedstawicieli muzeów okręgowych z wyżej wymienionych województw w Lublinie, gdzie w atmosferze całkowitego zrozumienia wspólnych spraw przedyskutowano zasady współpracy i zaznajomiono się ze stanem organizacyjnym oraz problemami lubelskiej placówki muzealnej. W wyniku obrad ustalone zostały konkretne propozycje wymiany wystaw, prelegentów, uczestników badań terenowych i tzw. obozów stacjonarnych, wspólnego opracowywania pokrewnych tematów, urządzania narad przedstawicieli i pracowników naukowych wszystkich muzeów z tego terenu, wspólnych wydawnictw itp.

Czy ta szeroko pojęta współpraca ma perspektywy rozwoju, okażą dopiero przyszłe miesiące, ponieważ na razie pod tym względem panuje błogi spokój. Może ciszę tę przerwie mój artykuł, w którym między innymi chcę zwrócić uwagę na kilka, moim zdaniem, doniosłych spraw, dotyczących właściwego rozwoju naszych placówek muzealnych, poprzedziwszy je krótką informacją o muzeach w województwie rzeszowskim.

Otóż w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie kończy się obecnie długo trwający remont zabytkowego budynku muzealnego, który wymagał wielkiego nakładu funduszy i pracy, aby mógł służyć na potrzeby Muzeum. Dopiero od kilku miesięcy parter budynku od-

POD koniec ubiegłego roku podjęta została inicjatywa współpracy czterech województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego — w różnych dziedzinach działalności kulturalno-oświatowej. Współpracę tę realizować mają poszczególne pokrewne placówki w tych województwach, jak muzea, teatry, domy kultury, filharmonie, towarzystwa naukowe i regionalne.

Najbardziej aktywny i bogaty w możliwości tej współpracy jest oczywiście Lublin. Ma to swoje uzasadnienie, jeśli się weźmie pod uwagę, że Lublin jest już dziś jednym z poważnych ośrodków miejskich, w którym rozwijają się rozmaite placówki prowadzące działalność naukową, kulturalną i artystyczną, a więc posiada on dane, jakie stwarzają z niego ośrodek życia naukowego i kulturalno-artystycznego we wschodniej części naszego kraju. Wprawdzie Rzeszów czy Kielce mają żywy i bliski kontakt z Krakowem, a Białystok chyba najlepsze połączenie z Lublinem posiada przez Warszawę, ponieważ jednak omawiana współpraca w zasadzie nie kryje w sobie żadnych niebezpieczeństw, a raczej przynosi same korzyści, wobec tego odbywają się od kilku miesięcy różne oficjalne rozmowy, propozycje i konkretne próby, czyli — jak się to zwykle mówi — rozwija się wymiana doświadczeń. Pozwala to wypróbować własne siły i ocenić możliwości w innym środowisku oraz porównać własne wyniki pracy z wynikami innych podobnych placówek.

Spróbujmy popatrzeć na zagadnienie współpracy od strony placówek mu-

# Trudno dzisiaj być poetą

Przyjdźcie do mnie wszyscy  
[chorzy po zawałach wyobraźni,  
przyjdźcie z paletami na ciekakach,  
z gitarami —  
przyszłych Strawińskich proszę,  
[Picassów bez nazwiska,  
mających tylko uszy do słyszenia  
i parę niesprzedanych oczu.

Arnold Stucki — Oda

Jeżeli możesz, cofnij się jeszcze z tej drogi. Trudno dzisiaj być poetą. Poezja jest jedną z relikwii humanistyki. A tymczasem humanistyka jest w odroczeniu. Humanistyka jest bezradna wobec rozwoju współczesnej nauki o materii i rozwoju techniki. Może pielęgnować historię, historię kultury, historię sztuki i historię filozofii, przesyłać kamyczki, katalogować zabytki i wykopaliska. Ale nie jest w stanie zasypać strażniczej jamy, jaka powstała pomiędzy samotnym, bezbronny człowiekiem a stworzoną przez człowieka maszyną cywilizacyjną. Ta dysproporcja nie da się dziś zrównoważyć.

Próbują tę przepaść zasypywać poeci. Nic innego nie robią. Od lat. A jeszcze u nóg ciągną im kule różnorodnych ideologicznych mitów, patriotyzmów, nacjonalizmów, wypracowanych w krwi i pocie przez ubiegłe pokolenia. Ten wielki gmach cywilizacji mający służyć człowiekowi obrócił się nagle przeciwko niemu, jak w groźnych wizjach fantastycznych, przewidujących wojnę doskonałych maszyn przeciwko człowiekowi w epoce cybernetyki.

Filozofia ucieka w specjalistyczne działy, ledwie unosząc postrzępione szaty. Wyrzeka się obowiązków syntez, całościowych teorii scalających świat w oczach współczesnego człowieka. Wszystko to jest ponoć niemożliwe na tym etapie rozwoju nauki.

A poeta czyż ma być tylko czułą kłiszą wrzuseń, rejestratorem, trubadurem historii? Czyż ma być tym szarym skowronczkiem, który mimo wojen, katastrof i ruin świata nad światem i światem? Jeszcze jeden wiersz, jeszcze jedna metafora.

Poeci szamoczą się od goryczy wiersza wolnego, uduchowionego — do ironii stylizacji, do stylizacji baroku i oświeczonego sentymentalizmu. Jednym słowem — uciekają do parodii. Podrabiają i podpatrują futurystów — parodiują. I parodiują przybierając teatralne gesty gongoryzmu. Parodia. Czy naprawdę skazani jesteśmy na parodię? Oczywiście — nie jest to parodia wyłącznie stylizacyjna. Jest w niej zawarta kpina z postaw sztucznych, obcych człowiekowi współczesnemu. Jest to tak, jakby ktoś wtargnął do garderoby teatralnej i zaczął przymierzać najrozmaitsze kostiumy i maski. Tak w tej chwili wygląda samotnie się niektórych poetów. Oczywiście żaden kostium, żadne przebranie nie odpowiada ich wewnętrznej postawie, ale co to za uciecha udawać postawy inne, historyczne i widzieć własną głowę otczoną sztucznym kołnierzem lub kryzą. Ten parodystyczny charakter niektórych poetów jest swoistą formą katastrofizmu kulturalnego. To już nie tylko popisy erudycji, inteligencji i sprawności artystycznej. To szukanie maski. Programowe szukanie maski. A może maska potrzebna jest po to, aby zasłonić dziurę w tym miejscu, gdzie zwykle jest twarz?

Pseudoklasyyczny wiersz Mickiewicza „Już się z pogodnych niebios ośma zdarła smutna” służył zawsze za przykład, jak nawet Mickiewicz błędził, gdy chciał się przypodobać pseudoklasykom czyli modzie obowiązującej. Dziś są poeci, którzy przekornie ten wiersz obierają sobie za wzór, ten typ chłodnego i konwencjonalnego opisu świetnie udającego, znakomicie przystosowanego do swojego kulturalnego tła, świadomego swej sztuki udawania. Powstaje pastiche podkreślający wyraźnie swój rodowód.

„Już glob zielony kryją lśniące szrony”...

Tak, to wiersz młodego poety współczesnego. On sam, a za nim szereg innych młodych poetów wraca do panegiryku, do wierszy opiewających, do rekwiizytorni zwierciadeł, wstążek, stroików, do koncepcji tej poezji, która kwitła po dworach z łaski dwuarów i palaców. Oczywiście — jeśli już mecenat, to wybieramy ten dawny, dworski. On też wymaga od nas udawania i przystosowywania się, ale jest przynajmniej bezkrawawy, łagodny. Rewolucja Francuska jest jeszcze bardzo daleko. Dopiero później zaczyna spadać głowa z woli ludu.

Może jeszcze za wcześnie aby te skłonności parodystyczne nazwać nurtem, mimo że moda parodii zaczyna się rozpowszechniać. Poeci epatujący dotychczas „nowoczesnością” zaczynają pisać po swoim rodzaju, wiersze okolicznościowe „Na...”, treny i sonety. Jeśli jeszcze nie nurt, to w każdym razie jedna z przypraw nowoczesnej poezji.

A weźcie teraz pod uwagę, co się stało z ludzkim językiem, z mową literacką. Dawniej poeta mógł napisać „kocham”. Dziś nikt mu nie uwieryczy na słowo. Jeśli chce coś podobnego wyrazić, musi tak kluczyć, aby powiedzieć to samo nie używając tego najprostszego słowa.

Liczba słów skompromitowanych rośnie i niedługo już obejmie większość słownika mowy ludzkiej. Może pozostać przymiki. Już niektórzy poeci piszą „nad”, „pod” i na tych słowach zawieszają wiersz rezygnując z rzeczownika, który powinien nastąpić po przymiku. Najwcześniejsze oczywiście zdevaluowały się przymiotniki w związku z dewaluacją estetyki i tradycyjnego pojęcia piękna, a potem z dewaluacją pojęć moralnych. Dziś można by ułożyć słownik słów skompromitowanych i byłby to dość pokaźny tomik. Trzeba by niezwykłego talentu, trzeba by geniuszu, aby na powrót tchnąć żywą krew we wszelkie pojęcia wątpliwe, banalne, zużyte i skostniałe. Zanim taki geniusz się znajdzie, trudno, trudno być poetą.

## LISTY O POEZJI

(10 i 11)

ANNA KAMIENSKA

Ale najtrudniej być dziś młodym poetą.

Przeciwstawiając się poprzednikom młodzi sięgnęli do nurtów nowatorskich z początku wieku. Te same zabawy językowe oznaczały co innego w tej i w tamtej historycznej już epoce. Powrót ten był odświeżający i twórczy. Był i zdrowy, i potrzebny.

Dziś dalsze kontynuowanie tego nurtu przestaje być możliwe. Czują to co najwybitniejsi młodzi poeci. Szukają innych sposobów. Szukają gorączkowo. Stąd właśnie parodystyczne powroty do przeszłości, stąd zainteresowanie dla poezji angielskiej i amerykańskiej zaczynające wypierać tradycje już u nas zafascynowanie Francją.

Młodzi poeci dziś stoją wobec konieczności nowej koncepcji poetyckiej, wobec konieczności nowatorstwa. Zaś nowatorstwo jest jak wiadomo pojęciem względny. Mierzy się w stosunku do osiągnięć poprzednich.

Trzeba się odbić i od Przybosa, i od Różewicza, i od Białoszewskiego, jeśli ktoś widział w nim mistrza. Zaczęć inaczej. Trudno tego wymagać od starszych poetów, już w poezji ukształtowanych i żyjących swoimi żywymi i artystycznymi obsesjami.

Mogą tego dokonać tylko młodzi, wchodzący do literatury. Tu już nie wystarczy ani zgrabny, ani dobrze napisany wiersz, ani spokojne, rozsądne dojrzenie poety od wiersza do wiersza.

Tu trzeba o wiele więcej. A trzeba nie tylko nowej koncepcji stylistycznej. Trzeba nowej koncepcji sztuki poetyckiej, nowej koncepcji życia, nowego tonu. Trzeba mieć coś nowego do powiedzenia.

Znajdujemy się właśnie w literaturze w takiej szczególnej chwili zastoju i oczekiwania. Jest cisza.

„Jedźmy nikt nie woła”.

## Jak toczy się światek

...Ku starości nachylasz dumnych...  
św. Augustyn

Gdyby ktoś zapytał mnie, jaki jest mechanizm rozwoju naszej poezji, odpowiedziałabym: pokoleniowy. Może zawiera się w tym truizm. Może wszelkie procesy dzieją się na tej właśnie zasadzie biologicznej zmiany. Przybiera tu jeszcze sprawa doświadczenia historycznego. Przecież nowe pokolenie to nie tylko młode mięśnie i mózgi, ale inaczej ukształtowana historyczna świadomość, inny typ uwarstwienia, inne kompleksy i obsesje. A

one to właśnie — kompleksy i obsesje wpływają na taki lub inny charakter sztuki.

Ale to nie tylko biologiczna zmienność ustawia w szereg pokolenia literackie i obraca je przeciwko sobie. Owieczny konflikt: młodzi i starzy. Nie, to zbyt banalne, aby o tym pisać. Tak było chyba zawsze i tak jest wszędzie.

Nie bardzo mnie jednak przekonuje stwierdzenie, że ta wymiennosc i walka pokoleń należy do stałych praw przyrody i kultury.

Niesamowite przyspieszenie tempa życia i rozwoju techniki współczesnej, galopujący bieg historii przekształcającej mapę świata z roku na rok — znacznie uintensyfikują ten proces walki pokoleń. Pokolenia już nie liczą się na generacje biologiczne: dziad, ojciec, syn, wnuk. Młodszy brat spycha starszego i zaczyna zagrażać jego pozycji społecznej.

Dochodzi do tego fakt, że dzieje się to na obszarze świata znacznie zwiększonym, gdyż łatwość informacji, prasa, radio, telewizja, znajomość języków zmniejszyła nasz globus.

Może nie tak bardzo ta intensyfikacja zmienności pokoleń widoczna jest w polityce i w życiu społecznym, gdzie trzeba czasu, aby wyrobić sobie autorytet i uznanie środowiskowe.

Natomiast jest to wyraźnie właśnie w sztuce, gdzie ceną się bardziej to, co „nowością potrzasa kwiatem”, niż to, co uformowane i dojrzałe. Sztuka wymaga czasu i uprawy. Rzadko zdarzają się młodzieńcze wysoki Rimbaldów.

Artyści dojrzejają w doświadczeniach życia i w żmudnym mocowaniu się z bielą kartki papieru, szarością płótna lub obszarem ciszy.

Najdoskonalsze utwory przychodzą wówczas, gdy zdawano się, że wszystko już zostało przez artystę powiedziane.

Regularne, powolne było dojrzewanie poetów dawnych epok, mimo że często wchodził oni w kolizję z władzą, ze społeczeństwem, mieli swoich zwolenników i przeciwników, bywali ubodzy i samotni. Ale byli też mistrzami, skupiali się przy nich młodzieńcze ciekawość tajemniczy ich artystycznego rzemiosła.

Walka pokoleń nabrała u nas jeszcze innego polityczno-moralnego sensu. Każde pokolenie obarcza innymi grzechami pierworodnymi pokolenie następne. Każda generacja, nim okrzepnie, musi zrzucić z siebie ciężar nieswoich win. Dzieje się tak i w płaszczyźnie życia i w płaszczyźnie sztuki oraz jej samowiedzy.

Dziś pokolenia poetów depeczą sobie po piętach. Jeszcze jedno nie okrzepło, nie zdołało pokazać swojej pełni, „już biegnie za nim inne, krzykliwe, agresywne i wrogie. Ostatnio młodzi zaczynają spychać młodszych. Nasza kulturalna agora jest ciasna. Już ci, co wydadli jeden tomik, zawistnie patrzą na tych, co debiutowali kilka lat wcześniej. Już nie pokolenia, roczniki zaczynają się spychać i naśladując się wzajemnie — tępich i deptać. Wy tak? I my tak potrafimy, jeśli tylko o to chodzi!

Najmłodszy debiutant szuka często wzorów i mistrzów nie w poetach starszych lub w dawnych okresach literatury, lecz w swoich, nieco starszych od siebie kolegach, którym się już jakoś udało. Chodzi tu zresztą często tylko o inspirację stylistyczną, o wartość myślową o tyle, o ile jest ze stylem związana.

Powstają tak całe szeregi Rymkiewiczów, całe kolumny Grochowiaków, powstają szkoły nie bardzo dla pierwowzorów przyjemne, gdyż powielające ich poezję w karykaturalnym zniekształceniu.

Skąd to zjawisko się bierze? Sądę, że z braku myśli, lub z braku własnego stosunku do świata. Inspiracja najczęściej jest literacka, wtórna. Stąd manieryzm, grymasy, jałowe lachy tej poezji.

Paradoksalna w praktyce zasada nowości za wszelką cenę zniweczyła sens artystycznego trudu dojrzewania. Liczy się błyskotliwa propozycja, fajjerwerk, eksperyment, jednodniowe nowatorstwo.

Krytyka w zasadzie nie istnieje, gdyż nie można nazwać krytyką ani obyczaju krótkich, informacyjno-wydawniczych recenzji zabijających szerszą myśl krytyczną, ani też okolicznościowych podsumowań sztucznie wydzielonego okresu.

Dlatego też nie dostrzega się, a w każdym razie nie podkreśla i nie eksponuje — osiągnięć, doświadczeń artystycznych i dzieł dojrzałych. Nie mamy na to cierpliwości, gdyż każdego poetę od razu wolimy włożyć w określone formuły i mieć z nim spokój.

Już młodzi poeci spotykają się z tym, że łatwiej im wydać pierwszą książkę niż tę drugą, która, jak sądzą, utrwali i ugruntuje ich pozycję pisarską.

Wydawnictwo idzie na debiut, gdyż mniejszym ryzykiem dla wydawcy jest ryzyko debiutu, niż książka dojrzała,

# PIĄTKA Z ULICY OLEJNEJ

IZNOWU nowy tomik wierszy. Ruchliwy organizacyjnie „Prom” (co na to „Prom” i „Nowy Prom” w Poznaniu?) zaprezentował we wspólnym zbiorze dorobek swoich członków. Przyjrzyjmy się im w kolejności tam przedstawionej.

Małe formy poetyckie sprawiają trudności nie lada i wielu pisarzy próbuje ich dopiero w pełni dojrzałości swego talentu, dysponując doświadczeniem całego życia. Poetyka tego gatunku wymaga zwięzłości, kondensacji maksymalnej. Cały utwór powinien być niemal pointą, pomysłem. Zeby ośmielać bez rozpuszczania w słowie. Dla Jadwigi Białduń to są raczej postulaty, a nie opis rzeczywistości. Jej miniatury ciążą jak najsluszniej ku żartowi poetyckiemu. Przecież „Znak” jest najkrótszym i najlepszym utworem autorki. Kiedy jednak od żartu przechodzi do filozofowania nad życiem („Na brudno”) czy wyznań lirycznych („Pocztówka”) okazuje się, że tak łatwo o banał; rodzi się przekonanie, iż prawd powszechnie znanych nie oplaci się rymować i znać czy własnym nazwiskiem. Tak samo pospolitym zakończeniem („a życie — to tak krótko”) zepsuty został sympatyczny skądinąd „Parasol”.

Pejzaż i muzyka są — jeśli wolno na czterech zamieszczonych w zbiorze wierszach opierać jakiegokolwiek sądy — głównym żywiołem liryki Zbigniewa Falkowskiego. A jeszcze dokładniej — wszystko u tego poety podporządkowane zostało muzyce słowa, jego wartościom dźwiękowym. Nawet sens i znaczenie; a także logika, bo wiersze Falkowskiego na tyle są tradycyjne, że wolno od nich wymagać jakiejś takiej logiki wewnętrznej. A cóż znaczą takie słowa o brzozie:

Jesteś biała zawsze byłaś prozą

(...)

Szumem sosen nadwiślańska brzoza

Albo ta strofa z tego samego wiersza:

Gdyś schyłona z popekaną korą

I jak panna nad lanem pszenicy

Daj rozspiewy wiślanym wieczorom

A wieczory srebrzone księżycem

Nie ma w tych wierszach poezji i wrzucenia, tylko poetyzacja i brak odpowiedzialności za słowo. Falkowski odrzucił interpunkcję, żeby choć trochę unowocześnić swój wiersz. Zabiegi te nie dają jednak rezultatu. Mało kto dziś doceni wartość nienagannego trzynastozgłoskowca rodem z „Pana Tadeusza”, czy jeszcze bardziej z „Mochnackiego” Lechonia (wiersz bez tytułu), tak jak nie będzie podziwiał

(Dokończenie na str. 16)

która będzie na pewno mniej efektywna.

I tak toczy się ten światek. W atmosferze zniechęcenia i rozgoryczenia starszych i średnich pokoleń, a rozgorączkowania i złudnej często imprezowej aktywności młodszych.

Grupy, festiwale, poetyckie wiosny i jesienie są to niewątpliwie piękne i przyjemne imprezy, może nawet w pewnym sensie pożyteczne i wynikające ze zdrowej chęci kontaktu i rywalizacji. Przynajmniej gada się trochę o poezji, trochę się ją społecznie aktualizuje.

Ale imprezy te nie zastąpią i nie mogą zastąpić twórczych propozycji ani powszedniego trudu artystycznego.

Jeśli któryś z poetów pragnie utrzymać się na fali, a raczej na pianach „krytyki”, być cytowanym i wymienianym, być en vogue — musi wymyślać coraz to nowe nowości, musi epatować wydawców, recenzentów i redaktorów. Jeśli braknie mu pomysłów — może wyreżyserować np. mały skandal towarzyski, niech się o nim przynajmniej mówi na ulicy, niech nazwisko jego brzęczy po kawiarniach. Może to komu imponuje.

Jeśli tego nie chce lub nie potrafi, niech liczy tylko na potomność i na historię, która też nie zawsze oddaje sprawiedliwość. Niech raczej liczy na opiekunów kurz, który odkryje wstydliwie mrzonki o sztuce, staroświeckie zasady wierności przede wszystkim sobie i swojemu sumieniu.

Szczęśliwi młodzi. Niestety, krótko dziś trwa ich młodzieńcza duma. Trzydziestoletni starcy ustępują dziś z drogi starcom dwudziestoosmioletnim.

Anna Kamińska

Tak się dziwnie złożyło, że gdy podjęliśmy na nowo nasze trudności i starania, by wydać następne numery „Reflektora”, w Lublinie zaczęły równocześnie ukazywać się jeszcze dwa pisma o charakterze literackim. Widocznie ten rok 1925 był szczególnie urodzajny na takie imprezy. Nie ulega przecież wątpliwości, że ci, co postanowili wydawać czasopisma, które by miały coś wspólnego z literaturą — na żaden zarobek z góry nie mogli liczyć. W ówczesnych warunkach, tego rodzaju periodyki mogli wydawać tylko maniacy, albo entuzjaści — no i oczywiście posiadający jakieś środki finansowe, przynajmniej na początek. Z tymi dwoma pismami związali się dwaj ludzie, jeden do drugiego niepodobny, a jednak coś tam było wspólnego, jakaś nitka jednakich upodobań ich łączyła.

Na zewnątrz bardzo uroczyste: „Dom Wydawniczy Fr. Głowiński i Ska — w Lublinie, Kościuszkę 8” i „Wydawnictwo A. Zbikowskiego w Lublinie — Górna 8” — a faktycznie dwóch bardzo ciekawych ludzi i nie mniej ciekawy zakres ich działalności.

Antoni Zbikowski studiował wraz ze mną prawo. Szczupły, blady i chorowity, mimo tych nieszczególnych warunków fizycznych — stygmat bezlitosnej gruźlicy — pełen zawsze energii i inwencji. Cechą charakterystyczną, wyróżniającą go spośród licznych grona studentów, było jego fanatyczne, obsesyjne, namiętne bezboźnictwo. Bezkompromisowy i wojujący ateusz na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim — to była nie lada osobliwość. Przy każdej okazji rozpoczynał spory światopoglądowe, wygłaszał diatryby antyreligijne, a tych okazji wśród studentów uniwersytetu miał bardzo wiele.

Nie lada sensację wywołał w Magistracie, gdy zjawił się tam pewnego razu i zażądał, by go skreślono z grona wyznawców Kościoła Rzymsko-Katolickiego i zapisano pod rubrykę bezwyznaniowców. Były podobno jakieś przepisy, oparte na konstytucji, które miały regulować te sprawy, ale jako żywo nikt z tego dotychczas w Lublinie nie korzystał. Zdumienie i zakłopotanie było tym większe, że Zbikowski zażądał wpisania odpowiednich adnotacji w dowodzie osobistym. Był to czyn dużej odwagi, gdyż mętnie się kształtowała kariera młodego człowieka rozpoczęta w tych czasach pod takim auspicjami. Toteż nazywaliśmy go „osobistym nieprzyjacielem Pana Boga”.

Później mu dodano jeszcze inne przewisko, Zbikowski uważał, że Kościół Katolicki, dzięki znanym pow-

szechnie walorom, jest najpoważniejszym przeciwnikiem, wrogiem numer jeden. Wobec tego w tej walce pozwał sobie celowo na pewien kompromis. Mianowicie popierał różne sekty i odłamy, by w ten sposób czynić dywersję w szeregach głównego przeciwnika. Obdarzał więc sympatią i pomocą mariawitów, adwentystów, metodystów, a szczególnie odszczepieńców od Kościoła spod znaku Faraona i Hodura. Stąd został też nazwany: „arcybiskup hodurowców in partibus infidelium”.

Ożenił się też programowo. W stółce akademickiej pracowała młoda dziewczyna imieniem Zosia. W charakterze kelnerki, sprzątaczk i pomywaczki. Rosła, hoża i zdrowa — ale pod względem intelektualnym i towarzyskim prymityw kompletny. Z nią się ożenił Zbikowski pod specjalnymi warunkami: że ślubu kościelnego nie wezmą, zamieszkają razem, dzieci nie będą chrzczone i będą wychowane bez religii. Mieli dwie córki. Oryginalna intercyza została uszanowana. Oba dziewczynki nie ochrzczone i jak się chwalił Zbikowski o religii nie miały zielonego pojęcia i podobno nawet żadnych metafizycznych ciągotek. Co się z nimi stało później — nie wiem. Ktoś mi opowiadał, że po latach i po śmierci ojca obie panny odznaczały się żarliwą pobożnością. Tak to się różni w życiu zdarza i nie zawsze to się zbiera, co posieje.

Był wtedy przepis administracyjny, który nakazywał chrzest dzieci w przeciągu, zdaje mi się, ośmiu dni od urodzenia. Nieprzestrzeganie tego pościągalo odpowiednie kary. Toteż posyłały się na Zbikowskiego. Odwoływał się i prawował aż do najwyższych instancji. Z uporem i zaciekłością walczył o swe prawa, budząc podziw u jednych i zgorzniecie u drugich.

Antoni Zbikowski był człowiekiem czynu i dlatego też nie mógł się zadowolić tym, że swoje idee może przeszczeplić tylko na przygodnych i cierpliwych słuchaczy — najbliższych kolegów, a eksperymentować tylko na sobie samym. Potrzebne mu było szersze forum. Nie ulega wątpliwości, że dla celów propagandy swych przekonań stworzył własne wydawnictwo.

Teraz z kolei można się zdziwić, w jak sposób młody człowiek, jeszcze

student, bez majątku i określonych dochodów, z żoną i dwojgiem dzieci na karku — mógł złożyć takie przedsięwzięcie i nawet przez pewien okres czasu je prowadzić. A jednak potrafił. Okazuje się, że powiedzenie chcieć to móc — nie jest tylko wytartym sloganem.

Prawdopodobnie, bo nie znam bliżej kulis powstawania tej imprezy, zaczęło się od pożyczki. Znaleźli się tacy naiwni i życzliwi, którzy podpisali weksle. Przy odpowiednich staraniach można je było zdyskontować w jednym z mniejszych banków — w najgorszym razie do dyspozycji zostali lichwiarze. A więc, małe pieniądze, ale niezbędny kapitał zakładowy już był. Następnie istniały niewielkie drukarnie, które godziły się przyjąć robotę na kredyt. Pisałem już o otwartym sercu Stanisława Wójcika; zdaje się, że z jego usług Zbikowski przede wszystkim korzystał. Skoro już były jakieś finanse i drukarnia gotowa do podjęcia pracy, trzeba było dobrze się zastanowić, co wydać w pierwszej kolejności, aby powiększyć nieco kapitał i zaraz na początku interesu nie zawałcił.

Trzeba przyznać, że Zbikowski poczynał sobie dość zreźnie. Na pierwszy ogień poszły teksty różnych ustaw i rozporządzeń z przystępnym komentarzem (sam był przecież prawnikiem). W gęstwinie ustawodawstwa pierwszych lat Polski, ludzie szukali takiej busoli. A więc ukazały się: „Nowa ustawa o ochronie lokatorów wraz z tablicami obliczeniowymi komornego” — „Prawo wekslowe i czekowe” — „Informator urzędniczy” itp. Start był dobry; wydawca na razie produkował tylko intratne pozycje.

W związku z powyższym przypominam mi się kapitalna historia. Gralewski był właśnie zakochany, w tarapatkach pieniężnych i strasznie potrzebował gotówki. Zaproponował więc Zbikowskiemu, że sprzeda mu do całkowitej eksploatacji książkę pod tytułem: „Jak zostać hipnotyzerem”. Ponieważ Gralewski był znany z tego, że znał się na hipnotyzmie, organizował seanse mediumistyczne, no a przy tym był dziennikarzem i poetą — Zbikowski chętnie się zgodził. W oznaczonym terminie rękopis został doreczony, wydawca wybulił (nie bez trudu) umówio-

na sumę i w rezultacie na półkach księgarskich ukazało się dzieło, które miało dopomóc młodym adeptom do osiągnięcia wyższych wtajemniczeń. Autor ukrył się pod pseudonimem Dr. Rafael Mabuse — na okładce była reprodukcja głowy malowanej w transie przez Jana Wydrę. Zjawia niesamowita.

Oczywiście powodzenie tej książki było ogromne. Gralewski później z humorem opowiadał, że nie wyrządził swym czytelnikom żadnej krzywdy, wręcz przeciwnie, gdyż zostanie hipnotyzerem uzależniał od spełnienia szeregu warunków nader pożytecznych. Zalecał więc ranne wstawanie, ablucję zimną wodą, ćwiczenie woli przez wyzuczenie, absolutną wstrzemięźliwość i tym podobne.

Wydawnictwo A. Zbikowskiego rozwijało się pomyślnie. Wtedy jego właściciel przystąpił do realizowania swych głównych celów. Najpierw więc broszury w całości poświęcone idei wolnomyslielstwa, a później inne książeczki pomocne w tej walce. Większą rzeczą już była książka pt. „A. B. C. wolnomyslielstwa” — krótki leksykon podstawowych pojęć z dziedziny religioznawstwa.

We wstępie m. in. tak pisze: „Skoro nie stać nas na razie na tak potężną broń w walce z klerykalizmem, jaką posiada zachód Europy w postaci katedr religioznawstwa, olbrzymiej literatury naukowej i potężnych, liczących setki tysięcy członków organizacji wolnomyslielckich, niechaj moja książka spełni rolę bodaj małej tarczy powstrzymującej zalew klerykalny”. A pod spodem: „Lublin, w dniu spalenia Giordana Bruno, roku od Wielkiej Rewolucji Francuskiej 139”. Ukoronowaniem działalności wydawnictwa miała być: „Ilustrowana encyklopedia wolnomyslielcka”. Wyśzedł tylko jej pierwszy tom, na resztę zabrakło w końcu środków. Bo przecież wszystkie te książki były absolutnie deficytowe.

Każdy człowiek miewa w swym życiu chwile słabości i wtedy popelnia różne głupstwa mniej lub więcej zabawne. Toteż i Zbikowski, choć tak fanatycznie ogarnięty jedną idea, zdradził ją chwilowo i zaprzagnął zostać lubelskim Medyceuszem. W ten sposób w roku 1925 powstało „Nowe Życie”, jak głosił podtytuł „dwutygodnik ilustrowany poświęcony literaturze, sztuce i życiu”. Pierwszy numer drukowany na ładnym papierze, z nieefektywnie poprzetrzoną okładką, zapowiadał pismo o charakterze podobnym do już istniejących stoletnich „Świata” i „Tygodnika Ilustrowanego”. Z góry deklarował absolutną bezpartyjność i czysty obiektywizm w ocenach.

Redaktorem został Konstanty Apollow. Była to osoba w niczym nie związana z ówczesnym światem literackim Lublina. Każdy się pytał, kto to zacc. Krążył taki dowcip, że widocznie nazwisko predestynuje go do służby sztuce. Ja osobiście znałem go, ale też nie od strony artystycznej. Apollow kończył szkołę realną, a zapisał się na prawo. Musiał więc jako ekstern zdać egzamin z języka łacińskiego. Zwrócił się do mnie o pomoc fachową. Wtedy się przekonałem, że to człowiek wyjątkowo zdolny; w krótkim czasie opanował przedmiot i zdał trudny egzamin. Lecz i wtedy, mimo że się musiałem z nim przez kilka miesięcy widywać codziennie, nie zdradził się z powołaniem literackim. Ojciec jego już nie żył, mieszkał z matką, bardzo ekscentryczną i egzaltowaną damą. Znacznie później dowiedziałem się, że był nie tylko czytelnikiem, ale i wielbicielem moim i moich przyjaciół i marzył o ściślejszym powiązaniu się z nami.

Jako redaktor nie okazał specjalnych zdolności, jako poeta ślizgał się na krawędzi absolutnej grafomanii. Zbikowski zorientował się w sytuacji i następne numery powierzył kierownictwu fachowemu. Redakcję przejął Tadeusz Bocheński. Lecz mimo tych zmian, choć nastąpiła większa selekcja drukowanych utworów, poziom ogólny niewiele się podniósł. Pismo nie miało żadnego kierunku, ani wyraźnego oblicza.

Kto tam drukował? Prawie wszyscy literaci zamieszkałi podówczas w Lublinie. Miasto nasze nie posiadało zbyt wielu ludzi pióra, dlatego też każdy redaktor musiał się zwracać do tych samych ludzi. Zbikowski płacił niewielkie honorarium — to zachęcało. Ale ponieważ samo pismo nie budziło zbyt dużego zaufania — nie jest przyjemnie figurować obok notorycznego grafomana — wielu z nas ukrywało się pod pseudonimami. Z kolei znów redakcja namawiała nawet na używanie pseudonimów, bo w ten sposób powstawało wrażenie większej liczby współpracowników.

## Aby nowe treści kultury dotarły pod strzechy

LICZĄCA ponad 55 tysięcy członków organizacja ZMW w województwie lubelskim stanowi obecnie poważną siłę społeczno-polityczną.

Działalność kół ZMW nabiera coraz większego znaczenia we wszystkich dziedzinach życia wsi.

Statystyka i 5-letnie doświadczenia mówią, że działalność kulturalno-oświatowa jest jedną z najpopularniejszych form działalności wychowawczej Związku. Dzieje się tak zarówno dlatego, że młodzież wiejska ma ambicję szybkiej likwidacji wszelkich przejawów kulturalnego zacofania, jak również dlatego, że różnorodne formy działalności kulturalno-oświatowej odpowiadają zainteresowaniom i usposobieniu młodzieży: bawią, uczą, wychowują.

Ponad 450 amatorskich zespołów artystycznych, 1500 zespołów szkolenia rolniczego i spółdzielczego, około 500 wiejskich kursów oświatowo-politycznych, kilkadziesiąt punktów bibliotecznych i zespołów czytelnich, które prowadzą członkowie ZMW, kilkadziesiąt kursów dokształcających w zakresie 7 klas i kółek zainteresowań technicznych, ponad 200 szkół zdrowia i kilkanaście młodzieżowych uniwersytetów powszechnych — świadczy o poważnym rozwoju prac kulturalno-oświatowych w Związku Młodzieży Wiejskiej.

Gdyby na mapie naszego województwa zapalić żarówczki w miejscach, gdzie wprowadzone są przez ZMW różnorodne formy pracy kulturalno-oświatowej, cały jego obszar zamieniłby się w jedną połać światła.

Nie wszystkie oczywiście punkty świetlne na tej mapie płonęłyby równym blaskiem. Nierówne są osiągnięcia poszczególnych zespołów i kół. Są i takie, jak np. w Siennicy Różanej lub Pszczelnej Woli, które mają już poważne osiągnięcia, i takie, które stawiają dopiero pierwsze kroki. Tak jest w każdej dziedzinie.

Można by podać przykład kółka czytelniczego w Pusznie Godowskiej (pow. opolski), w którym aktywny udział bierze cała młodzież wsi, a niektórzy jego członkowie, jak Michał Kwierniewski, posiadają liczące po kilkaset tomów własne biblioteki. Można by również wymienić klub techniczny w Bukowej Małej, gdzie dwaj młodzi zapaleni kol. Celiński i Piwoński zbudowali sami telewizor. Sporo klubów fotograficznych wyszło z inicjatywą organizowania w swoich wsiach wystaw fotografii. W Branwi (powiat janowski) młodzież zorganizowała kino i klub filmowy. Kierownik klubu kol. Kotrybała wyświetla filmy w okolicznych kółach ZMW.

W ok. 50 wsiach młodzież przeszkolona na kursie w Biłgoraju buduje wiatrak, które wytworzą będą światło elektryczne dla świetlic. Z inicjatywy ZMW buduje się w naszym województwie około 32 świetlice i innych obiektów kulturalnych.

Nieocenione zasługi w rozwijaniu pracy kulturalno-oświatowej ma inteligencja wiejska. Setki nauczycieli, bibliotekarzy, agronomów wkładają wielki wysiłek, by pracą artystyczną łączyć z pogłębianą działalnością oświatową. Kiedy w ubiegłym sezonie kol. Jerzy Krasucki ze Stryjny (powiat krasnostawski) przystępował z młodzieżą do opracowania „Skapca” Mollera, na kilku kolejnych zebraniach świetlicowych mówił obszernie o kulturze francuskiej, zapoznając uczestników z epoką, z panującymi zwyczajami, z całą twórczością Mollera. Zachęcał również do czytania dostępnych w bibliotece utworów wiążących się z tą epoką. W toku dyskusji, jaka wywiązała się po tym wstępie, uczestnicy zdecydowali, by wystawić „Skapca”, który pisany jest prozą, zawiera łatwiejszy dowcip, a postacie jego są bliższe i prościej narysowane. Dopiero po ta-

### JÓZEF KUŹNICKI

kiej akcji przygotowawczej rozpoczynają się próby czytane, w trakcie których kol. Krasucki zmusza do wzięcia się w sytuację sztuki, każe wyobrazić sobie, co działo się przed tym, jak bohaterka weszła na scenę, co mogła robić, co przeżyła.

W Stryjnie nie rozpoczyna się prób sytuacyjnych, dopóki wszyscy nie opanują tekstu z pełnym zrozumieniem i nie mówią go dostatecznie wyraźnie. Dość często stosuje się tu eksperyment zupełnie własnej interpretacji postaci bez jakichkolwiek sugestii kierownika zespołu.

Dzięki tak prowadzonej pracy zespół ma duże osiągnięcia i znajduje się w centrum uwagi zarówno młodych, jak i starszych.

Aby zespołów takich było coraz więcej, ZMW prowadzi wspólnie z Wojewódzką Radą Kulturalno-Oświatową systematyczne seminaria dla kierowników zespołów artystycznych.

Podobne seminaria i kursy prowadzone są również w innych dziedzinach. Wspólnie z Biblioteką Wojewódzką, ZMW organizuje okresowe kursy dla kierowników punktów bibliotecznych i przodowników zespołów czytelnich. Wspólnie z Zakładem Doskonalenia Rzemiosła prowadzone są różnego rodzaju kursy techniczne. Ostatnio zorganizowany został również kurs fryzjerski dla dziewcząt wiejskich.

Bardzo popularna wśród dziewcząt stała się akcja: „Przed każdą chatą — kwiaty”. Akcja ta ma duże znaczenie w walce o estetykę i kulturę życia codziennego na wsi. Zaczyna się od dbałości o ogródek, o kwiaty, potem zwraca się uwagę na czystość i porządek w całym obejściu. Przychodzi też kolej na wnętrza

(Dokończenie na str. 11)

(Dokończenie na str. 12)

# Powstańcze ścieżki 16-letniego Prusa



Bolesław Prus 1862 r.

## KRYSTYNA TOKARZOWNA

WIELE obiecujący tytuł tego artykułu jest bardziej wyrazem pragnień opracowującej go, niż tego, co się pod nim zawiera. To, co po wielu poszukiwaniach udało się zebrać na ten temat, stanowi raczej strzępy ścieżek, dróg, które rwą się co chwila, nie wiadomo, skąd przyszły i dokąd wiodą. Gdyby z tych wiadomości naszkicować itinerarium, przedstawiłoby się ono w postaci tu i ówdzie wyznaczonych punktów, z rzadka tylko ze sobą powiązanych.

Na powstańczy okres swego życia zasunał Prus gęstą zasłonę. Tak gęstą, jaką zwykło się pokrywać intensywnie żyjące we wspomnieniach urazy wczesnej młodości.

Wybuch powstania zastał Aleksandra w VI klasie Męskiego Gimnazjum Klasycznego w Kielcach, do którego wraz z bratem przeniósł się z Siedlec we wrześniu 1862 roku. W gimnazjum, do którego Aleksander uczęszczał jako uczeń, Leon Głowacki miał stanowisko tzw. drugiego filologa i uczył języka polskiego, łacińskiego i historii Polski.

Dzień, w którym w szkole dowiedziano się o wybuchu powstania, zapisał w pamiętniku kolega Aleksandra, Jan Stanisław Czarnowski<sup>1)</sup>.

Nadszedł nowy rok 1863 i dzień 22 stycznia, wybuchu powstania zbrojnego.

Na drugi dzień zeszedł się wcześniej do klasy naszej. Szeptano po cichu. Zaczęły już krążyć ponure wieści o pierwszych starciach krwawych. Do miasta przywieziono rannych żołnierzy do szpitala wojskowego.

Pierwsza lekcja z rana miała być u nas z łaciny. Wszyscy mieliśmy z sobą „Aeneis” Virgilego. Wtedy kolega Aleksander Głowacki (późniejszy Prus) zawołał: „Moja kochani, teraz nie czas na Eneidę!” obszedł kolejno ławki, zebrał wszystkie egzemplarze Virgilego w naręczu na piersiach, otworzył duże drzwi do zimnego pieca nieopalonego, wpakował weń wszystkie „Eneidy” i zamknął z wielką powagą. Wkrótce nadszedł młody profesor łaciny, Piórek, w okularach, zapisał się w dzienniku klasowym i kazał pierwszemu z brzegu koledek czytać i tłumaczyć zdany ustęp „Eneidy”. Z końcowych ławek odezwały się głosy: „panie profesoro, teraz nie czas na tę epopeję”. Rad nie rad profesor bierze w rękę kredę, wypisuje na tablicy kilka wierszy Horacego, tłumaczy je i komentuje. Wtem nagle słychać huk wielki. Masa śniegu spada z dachu z powodu odwilży na dolny daszek blaszany nad wejściem do piwnicy, tuż pod oknem naszej klasy. W pierwszej chwili zdawało się, że to wybuch bomby. Profesor nasz pobladł przerażony i dla formy zakończył wykład rozpoczęty. Inne lekcje dniowych przechodziły również w roztargnieniu, w nastroju ponurym i przygnębionym wskutek nadchodzących wieści niepomyślnych.

W okolicy Kielc powstanie wybuchło o pół dnia wcześniej niż jego początek wyznaczono. W Suchedniowie 400 osób leżąca partia powstańców pod dowództwem Aleksandra i Jana Da-

widowiczów już w południe 22 stycznia napadła na kasę górniczą i zabrawszy 30 000 rubli ruszyła na Bodzentyn, gdzie stała kompania smoleńskiego pułku piechoty. Tam powstańcy suchedniowscy połączyli się z miejscowymi spiskowcami i o 1 w nocy zaatakowali nieprzygotowanych Moskali. Zabili im oficera i 3 żołnierzy, zranili 40, a załogę zmusili do ucieczki. Nad ranem jednak powstańcy wycofali się do lasu, a Moskale w obawie przed ponownym napadem schronili się do Kielc.

Druga większa bitwa rozegrała się tej samej nocy w Szydłowcu, gdzie stały 2 rotę mohylewskiego pułku piechoty. Oddziałami powstańczymi dowodzili tam: były kapitan sztabu moskiewskiego, August Jasiński i pułkownik Marian Langiewicz, z polecenia Komitetu Centralnego naczelny organizator powstania w Sandomierskiem<sup>2)</sup>.

Moskale ustąpili początkowo pod miasto, jednak nad ranem wrócili do Szydłowca, zmuszając powstańców do ustąpienia. W potyczce tej poległo 5 powstańców, w tym jeden uczeń gimnazjalny z Radomia, a drugi z VI klasy tej samej szkoły został wzięty do niewoli<sup>3)</sup>.

Te wieści docierały w opisanym przez Czarnowskiego dniu do Kielc, budząc mieszane uczucia lęku i nadziei, a jednocześnie podniecając wyobraźnię uczniów.

Kiedy i w jakich okolicznościach zniknął ze szkoły Głowacki, nie wiadomo. Mogący wskazać tę datę dziennik lekcyjny gimnazjum kieleckiego nie zachował się do naszych czasów<sup>4)</sup>.

Przypuszczano niejednokrotnie, że na powstańcze plany Aleksandra mógł mieć jakiś wpływ starszy brat, Leon Głowacki bowiem w okresie poprzedzającym powstanie należał do władz najwyższych stronnictwa czerwonych i w październiku 1861 r. wraz z Ignacym Chmieleńskim i Julianem Wereszczyńskim był organizatorem warszawskiego „Miejskiego Komitetu” czerwonych. Jednak od roku 1862, tj. od czasu, gdy rozpoczął pracę nauczycielską w Siedlcach, nie brał już czynnego udziału w pracach organizacji. Nie był też zwolennikiem akcji zbrojnej. Gdy Walery Przyborowski w r. 1902 zwrócił się do Prusa z prośbą o wyjaśnienie roli brata w powstaniu, ten odpisał: „Brat mój, Leon Albert, istotnie należał do najwyższej organizacji od roku 1860 lub 61, a reprezentował w niej kierunek sceptyczny i łagodzący. Wiem to nie od niego, a od innych... (list z 16.III. 1902)... pamiętał o jednej rzeczy, że był to człowiek bardzo, wyjątkowo szlachetny, który (o ile wiem), nie wierząc w pomyślny rezultat akcji zbrojnej, nie wycofał się z organizacji... (list z 22.III.1902)<sup>5)</sup>”.

Biorąc pod uwagę powyższe zeznania Prusa, jak również fakt, że Leon do końca roku szkolnego nie opuścił swego stanowiska w kieleckiej szkole, a także to, że jako opiekun małoletniego był za niego odpowiedzialny, można być pewnym, że Leon nie tylko nie przyczynił się do wysłania brata do lasu, ale robił wszystko, co mógł, by zapobiec jego wojennym zamiarom. Rodzina powtarza do dziś słowa Leona, że „Aleksander wpędził go do grobu”<sup>6)</sup>.

Ludwik Włodek, powołując się na rodzinną tradycję, w swej monografii

BOLESŁAW PRUS

## Z Nałęczowa

Zastąpiłbym na nazwę lutego niewdzięcznika, gdybym, siedząc od kilku tygodni w Nałęczowie, nie poświęcił mu pochwalnej ody... Zaden kochanek nie tęskni tak do przedmiotu swoich marzeń, zaden nie spieszy z taką radością, zaden z takim zapalem nie próżnuje przy boku ukochanej, jak — niżej podpisany — w Nałęczowie. Miałbym więc, jak pospolity uwodziciel, splamić się obojętnością i nie wyśpiewać pochwały dla jego wdzięków teraz właśnie, gdy tułę się do słodko zaokrąglonych pagórków, oddycham jego technieniami, przezieram się przez bujną roślinność i — tonę w tajemniczych jarach.

Proszę sobie przedstawić dolinkę, tak małą, jak wszystko, co jest dobrem na świecie, otoczoną wieńcem tak łagodnych pagórków, że każdy z nich dziecko mogłoby zakryć rączkami. W tej dolinie proszę umieścić park zaludniony wszelkiego rodzaju roślinnością: lipami, kasztanami, sosnami, klonami, nawet ananasami, które na własne oczy widziałem w stojach. Proszę tę dolinkę połączyć z resztą świata za pomocą mnóstwa cienistych wąwozów, wąwozików, na które nie można spojądać bez westchnień, a będziecie mieli bardzo niedokładne wyobrażenie o pięknościach nałęczowskiej natury.

Czy to już wszystko?... Bynajmniej. Są tu jeszcze dwie rzeczulki, z których jedna prowadzi zachwałych turystów aż do Kazimierza, druga — zasila parkową sadzawkę, po której zakochani mogą pływać czółnami, karmić białopióre łabędzie, wzdychać przy bladocnym księżycu, lub przypatrywać się budynkom hydropatycznym, odbitym w zwierciadle wody.

Czarująca ta miejscowość powinnaby ścigać emancypantki: istne tu bowiem królestwo płci pięknej!... Damy są wszędzie i wszędzie. One kąpią się w borowinie, one piją kumys i żelaziste wody. Pod ich pięknymi paluszkami od rana do nocy jęczy zakładowy fortepian; szelest ich powiewnych sukien i rozkoszny szczebiot rozlega się we wszystkich alejach parku i kurytarzach budynków zakładowych.

One najwięcej biorą książek z czytelnicy, one grają w piłkę, zapelniają salę koncertową i dezorganizują teatry amatorskie.

Mężczyźni schodzą przy nich na ostatni plan: co najwyżej włóczą się za damami, niby ogony komet, lub upadają raz na tydzień, jak meteory, aby przysporzyć kłopotu lekarzom.

Zresztą pleć piękna w Nałęczowie nie tylko w charakterze pacjentek odgrywa dominującą rolę. Panie bowiem należą tu i — do zarządu. Dama jest inspektorką mieszkań, dama kasjerką, dama kieruje kuchnią zakładową i dama ma najwyższy nadzór nad salą jadalną.

Była nawet epoka, że dama, p. Oktawia Rodkiewiczowa, przez parę lat prowadziła buchalterię tudzież administrację zakładu i z zobowiązań swoich, bynajmniej nie łatwych, wywiązywała się świetnie.

Muszę przyznać, że patrząc na Nałęczów, jestem bliski pogodzenia się z damskimi rządami. Z największym zdumieniem, w każdym kółku administracji maszyny, poruszanej przez kobiety, widzę: ład, czystość, punktualność i ciszę. [...]

(„Kurier Codzienny” 1894 nr 237)

o Prusie zanotował, że Aleksander należał do partii Czachowskiego i Krysińskiego<sup>7)</sup>. Nazwisko Czachowskiego i wydarzenia z nim związane mogą nas naprowadzić na pierwsze tropy powstańcze szkolnego uciekiniera.

23 stycznia Marian Langiewicz formował w Wąchocku regularne wojsko powstańcze. Podzielił wtedy podległych sobie ludzi na 4 bataliony piesze pod dowództwami Dąbrowskiego, Dawidowicza, Moreau i Czachowskiego, a z 300 ludzi utworzył jazdę pod dowództwem Prędowskiego. Do 12 lutego oddział Czachowskiego operował w rejonie Kielc, 1 lutego między Berezowem i Błetem zagroził drogę do Suchedniowa kolumnie rosyjskiej pod dowództwem pułkownika Krasińskiego, posuwającej się od Kielc, i zmusił do cofnięcia się z powrotem. Znowu pod Bzinem urządził zasadzkę na dragonów Krasińskiego, 3 wspólnie z oddziałem Langiewicza i Moreau próbował wstrzymać moskiewską kolumnę, posuwającą się do Wąchocka. Po poniesieniu porażki Langiewicz zarządził wycofanie oddziałów do Bodzen-

tyna. Stamtąd zabrał oddział Dawidowicza i powędrował na południowe stoki Lysogór. Oddział Czachowskiego „ozłodził się w pobliżu Nowej Słupki reszta usytuowała się na Świętym Krzyżu. Tam zatrzymali się przez kilka dni, aby Langiewicz mógł na nowo zorganizować rozproszonych ludzi. 12 lutego zostali niespodzianie napadnięci przez oddziały Golubiewa i Czengierego. Po 4-godzinnej bitwie następnego dnia Langiewicz zarządził wycofanie oddziałów w Krakowskie<sup>8)</sup>.

Jest bardzo prawdopodobne, że Aleksander dotarł z Kielc do oddziału Czachowskiego już w pierwszych dniach powstania.

Na pierwszy jednak wyraźny ślad Aleksandra w oddziale powstańczym napotykamy w pamiętniku jego kolegi z siedleckiej szkoły, Tymoteusza Luniewskiego<sup>9)</sup>. Luniewski pisał:

19 kwietnia 1863 r. opuściłem Siedlce (...), udałem się piechotą przez Łosice, Chotyrcze do Mostowa (koło Białej Podlaskiej), do Gusta-

(Dokończenie na str. 8)



Gmach gimnazjum w Lublinie, do którego uczęszczał Prus (obecnie Studium Nauczycielskie)

Fot. J. Urbanowicz

ZOSTAL w Warszawie sam. Julek i Gutek wyjechali zaproszeni na wies przez jakiegoś koleżę. Adaś i Michał spędzali wakacje w Lublinie.

Musiał też opuścić pokój, który zajmował wspólnie z nimi.

Na szczęście spotkał w Ogrodzie Saskim kolegę ze Szkoły Głównej — Józefa Kotarbińskiego i ten dowiedział się, że Oleś zostaje bez dachu nad głową, zaproponował mu, żeby się przeniósł do niego. Oleś jeszcze tego samego dnia zawiązał na Smołą pod numer piąty swój sennik, książki i mały kuferek z bielizną i ubraniami.

— Oho! — śmiał się Józef. — Masz własny sennik! Krezus z ciebie!

Kotarbiński był dobrym kompanem. Wesoły, koleżeński, o twarzy wyrazistej i pięknych ciemnych oczach, słynął w Szkole Głównej ze swych zamiłowań literackich, zdolności aktorskich i niezwykle go wprost roztrzępania.

Mściś, u którego Oleś często spotykał Kotarbińskiego, opowiadał o nim, że pewnego razu zamyślony Józef, idąc za czymś pogrzebem, nagle zaczął głośno gwizdać jakąś arię z modnej operetki. Dopiero ktoś z kroczących obok przyjaciół przywołał go do porządku głośnym szeptem: „Józiu, uważasz, serce, na pogrzebach nie jest przyjęte, żeby gwizdać.”

Dwaj współlokatorzy lubili się bardzo, choć mieli całkiem odmienne zainteresowania i charaktery. Kotarbiński zupełnie nie rozumiał matematycznych zainteresowań Olesia i jego naukowych aspiracji.

Mimo wspólnego pokoju widywali się niewiele. Kotarbiński wieczory spędzał w teatrach, a ranki i popołudnia w redakcjach pism i cukierniach. Oleś przede wszystkim był zajęty szukaniem zarobków.

Korepetycje skończyły się, jak zwykle, z nadejściem lata. Wszędzie, gdziekolwiek zwracał się z prośbą o pracę, napotykał kilkunastu kandydatów na jedno wolne miejsce. Miał zamiar ubiegać się o posadę na kolej, w czym chciał mu pomóc jakiś znajomy Jackowski. Oleś przygotował więc odpowiednie podanie i miał je zanieść do Emilki. Ale właśnie wtedy przeczytał w prasie ogłoszenie dyrekcji „Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej”, że „Wszelkie prośby i podania o posady bez skutków i bez odpowiedzi pozostaną”. Podarł więc swoje podanie i machnął ręką... Machnął też ręką na powakacyjne egzaminy. Sam zastanawiał się, dlaczego to robi i nie wiedział, czy po prostu nie ma już sił pchać dalej ciężkiej taczki życia człowieka, „co się zwał niezamierzonym studentem”, czy też tak bardzo czuje się zrażony do Szkoły Głównej — profesorów i kolegów.

„Oni uważają Szkołę Główną za kuźnię wiedzy i tak jakoś wszystko upraszczają. Wszystko jest dla nich takie łatwe!” — myślał już dawniej przysłuchując się dyskusjom i rozmowom kolegów. — „Im się zdaje, że ze swoich antypowstańczych i antyromantycznych nastrojów wykuli jakieś nowe i trzeźwe spojrzenie na świat. A tymczasem to „spojrzenie” redukuje się do pogoni za zarobkiem i uczy szukania jak najłatwiejszych rozwiązań”.

O swoich decyzjach nie mówił na razie nikomu. Napisał jedynie do Mściśława Godlewskiego. Poc-

ciwy Mściś pocieszał go w listach, a Oleś, osamotniony, zawiedziony i smutny, a zarazem pochłonięty zagadnieniami naukowymi, którym pragnął poświęcić się bez reszty, chętnie gawędził z nim listownie.

„Jeżeli uważać mnie będziesz jako jedną osobę” — pisał do Mściśława w lipcu 1868 r. — „to wiele zjawisk mojego życia wyda Ci się dziwnym chaosem; ale ja — właściwie nie jestem osobą jedną, ale jest ich we mnie kilka. Jedna — nad miarę wrażliwa, instynktowna, źle wychowana, przewrotna — bierze górę w czasie osłabienia umysłu. Druga — pełna szlachetnych popędów, lekkomyślna, uczuciowa, objawia się w chwili dobrego humoru. Trzecia — uparta, myśląca, rachująca, przewidująca i bolejąca za błędy dwóch tamtych, odzywa się rzadko, ale ma prawdopodobieństwo kierować nimi”.

## ROGATA DUSZA\*

GABRIELA PAUSZER-KLONOWSKA

W pamiętniku, który w tym okresie zaczął prowadzić, wypisał jako dewizę takie właśnie przykazanie: „Poznaj siebie, kieruj sobą”.

Pracował wiele. Kotarbiński po powrocie z teatru zastawał go zwykle jeszcze nad książkami. Tłumaczył i streszczał „Logikę” Johna Stuarta Milla, czytał po rosyjsku Sieczenowa „Mózg i jego refleksy”, studiował Spencera i Comte’a.

Józef dziwił się: — Żeby taki żywy i wesoły młodzieniec tyle czasu spędzał nad książkami. I ciebie to nie nudzi, człowieku?

I zaczynał mu opowiadać o przedstawieniu, z którego właśnie wracał, albo prawie dytyramby na cześć Heleny Modrzejewskiej, którą niedawno oglądał na scenie w Krakowie.

— Przyjeżdża we wrześniu do Warszawy! Musisz ją zobaczyć! Koniecznie! Jest zupełnie nadzwyczajna! Cudowna!

Oleś słuchał obojętnie tych zachwyty. O Modrzejewskiej wiedział, że niedawno wyszła za mąż za hrabiego Karola Chłapowskiego i ten mariaż sympatki z hrabią nie budził w nim szczególnych sympatii. Wiedział też, że Modrzejewska jest bożyszczem wszystkich studentów wszystkich wydziałów Szkoły Głównej. A on nie lubił takich, jak mówił, „ciężących” zachwyty. Zresztą nie miał pieniędzy na chodzenie do teatru, choćby na paradyż. A gdyby je nawet miał, to by wolał wydać na kupno książki. Już dawno nęciła go na wystawie księgarni

\* Fragment powieści o Prusie pt. „Trudna droga”, która ukaże się nakładem wydawnictwa „Iskry”.

Wendego „Chemia” Gorupa-Bezanesa i „Fizyka” Müllera.

— Nie rozumiem — irytował się Józef — oświadczyleś mi, że rzucasz Szkołę Główną, że nie będziesz zdawał egzaminów na jesieni, a siedzisz wciąż nad książkami!

Oleś wzruszył ramionami: — Mój kochany! Powiedziałem, że rzucam Szkołę Główną, ale nie powiedziałem, że przestaje się uczyć. Buckle był uczonym — samoukiem, więc i ja mogę nim zostać.

Z Kotarbińskim nieraz sprzeczał się o różne sprawy, a przede wszystkim o sztukę i jej rolę w życiu kraju.

Oleś nie podzielał zapałów artystycznych Józefa. — Gusta estetyczne stanowią tylko małą część potrzeb ludzkich i społecznych — dowodził z przekonaniem — nie wolno dealektować się nimi tym, którym brakuje chleba.

— Zaraz zaczniesz twierdzić, jak nasi niektórzy politycy — irytował się Kotarbiński — że „dobre buty są więcej warte aniżeli Szekspir”.

— Jak tak nie twierdzę. Dla mnie Szekspir tyle jest wart, co Kepler. Ale wydaje mi się, że tak, jak powiedziałeś, sądzić mogą właśnie ci, którzy nie mają nie tylko dobrych butów, ale w ogóle żadnych. I słuszność jest po ich stronie, gdyż dla naszego pokolenia najważniejszą sprawą jest podniesienie dobrobytu.

— Daj mi już spokój! — Kotarbiński z pasją ścigał buty i zaczął ostentacyjnie rozbiierać się do snu. Ale Oleś właśnie rozgadał się na dobre.

— Trzeba zacząć budować życie od fundamentów, a kształtowanie smaku i piękna zostawić na potem. Trzeba się pozbyć mrzonek i marzeń, trzeba myśleć trzeźwo i pracować zawzięcie.

— Dużo masz z twojej pracy Oleś uspokoił się na chwilę, ale zaraz znowu powiedział gniewnie:

— To dlatego, że u nas ludzie mają takie pojęcie o nauce, jak gęsi o logarytmach.

Józef ziewnął. — Ja też nie mam pojęcia o logarytmach i w ogóle o tej twojej całej ukochanej matematyce.

— Ty jesteś wielbicielem muz, a ja — fanatykiem matematyki i nauk ścisłych. Wiesz, dopiero teraz, pod wpływem logiki Milla, zaczynam rezygnować z marzeń o tym, żeby sprowadzić wszystkie nauki do metody i form matematycznych!

— Cha! Cha! Cha! — śmiał się Kotarbiński. — Co też ty masz za pomysły!

Traktował naukowe koncepcje Aleksandra jak jego żarty, czy też paradoksalne powiedzenia, których tyle krążyło wśród słuchaczy Szkoły Głównej.

Pewnego razu zaproponował Olesiovi: — Gdybyś chciał pisać jakieś wesołe opowiadki, mógłbyś je na pewno wydrukować.

Ale Oleś niechętnie zmarszczył brwi.

— O nie. Nie mam na to ochoty.

Przez chwilę milczał. A potem zastanawiając się nad każdym słowem i dobierając je starannie — zależało mu na tym, żeby Józef zrozumiał go należycie — oświadczył:

— Powieść jak ptak wlatuje oknem i może lada chwila odlecieć; poglądy filozoficzne jak człowiek

## POWIĄZANIA NAŁĘCZOWSKIE

TADEUSZ KŁAK

Zażyłość Prusa z Nałęczowem utrzymała się na dobre w ostatnich latach życia pisarza, kiedy Nałęczów, sama przyroda i zakład leczniczy mogli być naprawdę przydatni dla podtrzymania jego sił. Z tego mniej więcej czasu pochodzą entuzjastyczne opinie Prusa o urokach Nałęczowa, wspomnienia przyjaciół z wspólnych spacerów i spotkań, a także pamięć najstarszych ludzi w Nałęczowie o „dziadziu Głowackim”, notująca sielankowy obraz starszego pana w okularach żyjącego dzięki cukierkom i słodyczom za pan brat z miejscową dzieciarnią. Obraz zresztą najzupełniej prawdziwy.

Ale przyjaźń autora „Placówki” z Nałęczowem rozciąga się niemal na 50 lat. To przecież wielki okres czasu, wystarczający, by sam człowiek uległ ogromnej przemianie. Prus przyjechał tu pierwszy raz w 1882 r., a więc mamy swoisty jubileusz, „okrągłą” rocznicę osiemdziesięciolecia tego faktu, a także przybliżoną rocznicę odrodzonego Nałęczowa. Także jubileusz trochę przeoczony. Prus był wtedy jeszcze zupełnie młodym 35-letnim dziennikarzem i pisarzem, jeszcze humorystą i kronikarzem, a nie twórcą swoich głównych dzieł. W tym roku był po raz pierwszy w Nałęczowie i Sienkiewicz, ale znikąd nie wiemy, czy się tu spotykali dwaj najwięksi współcześni. Sienkiewicz bardzo sobie Nałęczów chwalił. Za to Prus wyraźnie tęsknił do ruchliwego warszawskiego życia. Z listu do żony (22.VIII.1882 r.): „Ja wciąż mam się dobrze. Od kilku dni jadam obiady u pani Benni, bo

mi restauracja zbrzydła. Zresztą zaczynam się nudzić i z niecierpliwością oczekiwać chwili wyjazdu (...). U nas deszcze i nuda. Przyjechał tu Doliński i rozruszał trochę towarzystwo. Zawsze wesoły i dowcipny!” Przy tym Prusa interesują własne plany pisarskie,

„sztyftuje” korespondencję z Nałęczowem. Nudów jego nie rozprasza nawet działalność kulturalna, o której w tym samym liście wspomina — stoi od niej jednak z boku. Warto i ten fragment przepisać, bo właśnie pierwsze lata odrodzonego Nałęczowa należą do naj-

mniej znanych, w przeciwieństwie do okresu po 1900 roku: „Był tu koncert Górskiego z Paderewskim i wcale się udał; potem zabawa z odczytem (!) na założenie szkółki, a obecnie rada nad teatrem amatorskim”.

Na te mniej więcej czasy przypadają wycieczki Prusa w poszukiwaniu materiałów do „Placówki”. Nie ma w niej wątków lokalnych, ale bez trudu odczytamy w „Placówce” koloryt miejscowy. Tak częsty w tej powieści krajobraz jarów i wawozów — to przecież Nałęczów. Lubelska jest i gwara Słimkowej rodziny, a jakże często wraca to znamienne „mu-si”. — „Wielgie to musi państwo — myśli Słimak. Ma się niekiedy za złe pisarzowi, że mało pisał o Nałęczowie, nie poświęcił mu fragmentu czy większego utworu, jak choćby Warszawie. Ale przecież wystarczy, że „Placówkę” pisał w Nałęczowie, w miejscu, gdzie dziś jest jego muzeum. Godzi się tu może przypomnieć, że Zeromski już w 1892 roku marzył o utworzeniu muzeum w tej właśnie sali, gdzie „Placówka” powstała. Nie myślał chyba nigdy, że jego marzenie kiedykolwiek się spełni. Kiedy już Zeromskiego wspomniano, warto się odwołać do jego dzienników, gdzie pod datą 1891 r. pisze o powstaniu „Placówki”:

„Znowu dziś odbyliśmy wycieczkę tą samą czwórka. Wyjechaliśmy rano. Droga pani Oktawia opowiadała mi historię pisania „Placówki”. Motywy wzięte były ze wsi Przybysławice i kolonii niemieckich, obok których się jedzie do Lublina. Pani Oktawia jeździła tam we dwójkę z Prusem, kiedy gromadził materiały. Chodzili tedy po chatach i nad rzeczkę, o której mowa w „Placówce”, śladowali po pół dnia u Niemców. Pisał Głowacki w Nałęczowie zamknięty na klucz w swoim pokoju na dole”. Pani Oktawia to naturalnie przysłała Oktawia Zeromska.

Kilka lat systematycznych odwiedzin Nałęczowa zrobiło swoje. W 1890 r. pisze w liście do Oktawii Rodkiewiczowej, że myśli często o Nałęczowie, bardzo często. Może jest to



Prus w otoczeniu rodziny przed willą „Pod Matką Boską” w Nałęczowie

wchodzą i niekiedy zamieszkuja lokale zajęte, a fak-  
ta albo jako składowe części budynku zostają w nim  
przez ciąg pobytu kilku pokoleń, albo jako taran bu-  
rza to — co jest zbyt częste.

— To bardzo ładnie powiedziane — mruknął Jó-  
zef. — Ale dla mnie za mądre.

Oleś roześmiał się:  
— To cytat z listu, który napisałem do Mściława,  
bo i on mnie namawia do pisania powieści. Właśnie  
kończy ten list.

— Ale wysłał list nie dokończony, gdyż nazajutrz zja-  
wiła się na Smolnej pani Olszewska. Przyjechała gna-  
na niepokojem o siostrzeńca. Któryś z lublinianków,  
spotkany przypadkowo na ulicy, opowiedział o egza-  
minacyjnej katastrofie Olesia. Zmartwiona, natych-  
miast ruszyła w drogę.

Nie robiła mu żadnych wyrzutów. Sama już daw-  
no twierdziła w rozmowie z wujem Klemensem, że  
nauka w takich warunkach materialnych może tylko  
wypędzić Olesia w suchoty.

„Jego matka umarła na suchoty. Trzeba o tym pa-  
miętać” — dodawała z troską.

Przywiozła mu zaroszenie wuja księdza Seweryna  
Trembińskiego na plebanię do Józefowa Ordynackie-  
go.

— Spędzisz tam resztę lata. I w ogóle zostaniesz,  
jak długo zechcesz. Weźmiesz ze sobą książki i bę-  
dziesz mógł spokojnie pracować — zachęcała swego  
ulubieńca.

Przyjął chętnie tę propozycję. Zobaczy kochaną  
babunię Trembińską, uściska wuja Seweryna, a przede  
wszystkim pobędzie trochę z Leonem. Nie widział go  
przecież tak dawno, tak bardzo dawno!

2

NA plebanii czekali na niego. Babunia pragnęła  
mu nieba przychylić. Wuj Seweryn zapewniał,  
że może tu siedzieć choćby całą zimę i z po-  
wagą rozważał z nim projekt, o którym Oleś znowu  
zaczął myśleć poważnie — projekt wyjazdu na dal-  
sze studia do Petersburga.

Kilka dni upłynęło Olesiu w błogim nastroju.  
Leona jeszcze nie widział, gdyż wuj chciał chorego  
przygotować do tego spotkania z bratem.

Babunia opowiadała, że Leon zachowuje się teraz  
zupełnie spokojnie. Wuja Seweryna kocha bardzo  
i słucha bez szemrania, potulnie i grzecznie, jak  
dziecko. Czas spędza najchętniej w swojej izdebce,  
milcząc i leżąc na łóżku.

— On wciąż jakby czeka na coś czy na kogoś. I cze-  
goś nasłuchuje — opowiadał Olesiu wuj.

— Ludzi obcych i rozmów unika — dodawała ba-  
bunia.

— Dawniej wspominał o tobie parę razy. Ale jak  
powiedziałem mu wczoraj, że przyjechał, wcale na  
to nie zareagował. Myślę jednak, że cię pozna.

Poznał go, bo kiedy stanęli w otwartych drzwiach  
małej izdebki, krzyknął przeraźliwie „Oleś”. Potem  
nagle zerwał się z łóżka, na którym siedział przy-  
garbiony i... porwał stojące obok ciężkie dębowe  
krzesło... Z niezwykłą jak na niego siłą, uniósł je  
do góry i zamachnął się w stronę brata. Oleś odsko-  
czył. Wuj, błądzący z przerażenia, zatrzasnął drzwi.  
Krzesło walnęło w nie z łoskotem.

Oleś stał pod tymi drzwiami zmartwiał z przera-  
żenia. Krzyk Leona rozbrzmiewał teraz donośnie. Sły-  
chać było jak miota się po izdebce, krzyczy i wymyś-  
la nie wiadomo komu.

Przybiegła babunia i zabrała Olesia do jadalni,  
a wuj przeżegnał się i wszedł do izdebki chorego.

Oleś, dygocąc wewnętrznie, siedział przy stole i na-  
słuchiwał. Słyszał spokojny głos wuja i okrzyki Leona.  
Nie rozróżniał słów, ale sam ich ostry, wibrujący  
dźwięk przyprawiał go o drżenie.

Za oknami szarzał już świt, kiedy Leon wreszcie  
zasnął i wuj Seweryn przyszedł do jadalni. Babunia  
już poszła do siebie i Oleś siedział sam podpartszy  
ręką ciężko pochyloną kędzierzawą głowę.

Wuj, zmęczony zmaganiem się z chorym, cicho szep-  
tał pacierze. Po chwili zwrócił na siostrzeńca swoje  
dobre jasne oczy, otoczone siatką drobnych zmarsz-  
czek.

— Nie spodziewałem się tego. Taki był ostatnio  
spokojny... A teraz — wszystko od nowa.

— To przeze mnie... — Oleś z trudem opanował  
drżenie warg. — On od początku nie znośił mojego wi-  
doku...

Wuj wstał i położył znak krzyża na czole siostrzeń-  
ca.

— Idź spać, Olesiu. Jutro zastanowimy się, co ro-  
bić... W każdym razie nie pokazuj się Leonowi.

Ale nazajutrz okazało się, że chory, chociaż nie wi-  
duje brata, wyczuwa jednak jego obecność... Trzeba go  
było związać, bo wybił okno w swojej izdebce i poranił  
sobie ręce... Chciał dokądś uciekać, krzyczał i płakał...  
Oleś zamknął się w pokójku na stryżku, gdzie mu  
postawiono łóżko i gdzie słodko pachniało jabłkami  
i pęczkami suszonych ziół. Leżał z głową wtuloną w  
poduszkę i starał się opanować suchy szloch, który  
nim wstrząsał.

Byłoby mu lżej, gdyby się mógł wyplakać, ale lzy  
nie przychodziły. Znowu przeżywał to, co już kie-  
dyś przebolewał, przecierpiał... Klęska powstania...  
I Leon! Jego brat, Jego opiekun i przyjaciel!

Kiedy się ściemniło, przyszedł na stryżek wuj. Był  
tak przygnębiony, że Oleś musiał go uspokajać. Jesz-



cze dziś wyjedźcie stąd i wtedy wszystko będzie po  
dawnemu: Leon się uspokoił, wierni wuja przestaną  
się żegnać z przerażenia, słysząc na plebanii te strasz-  
ne krzyki.

Przy pożegnaniu babunia płakała.  
— Czy ja cię jeszcze kiedy zobaczę, Olesiu? Czy ja  
cię jeszcze zobaczę?

Gabriela Pauszer-Klonowska

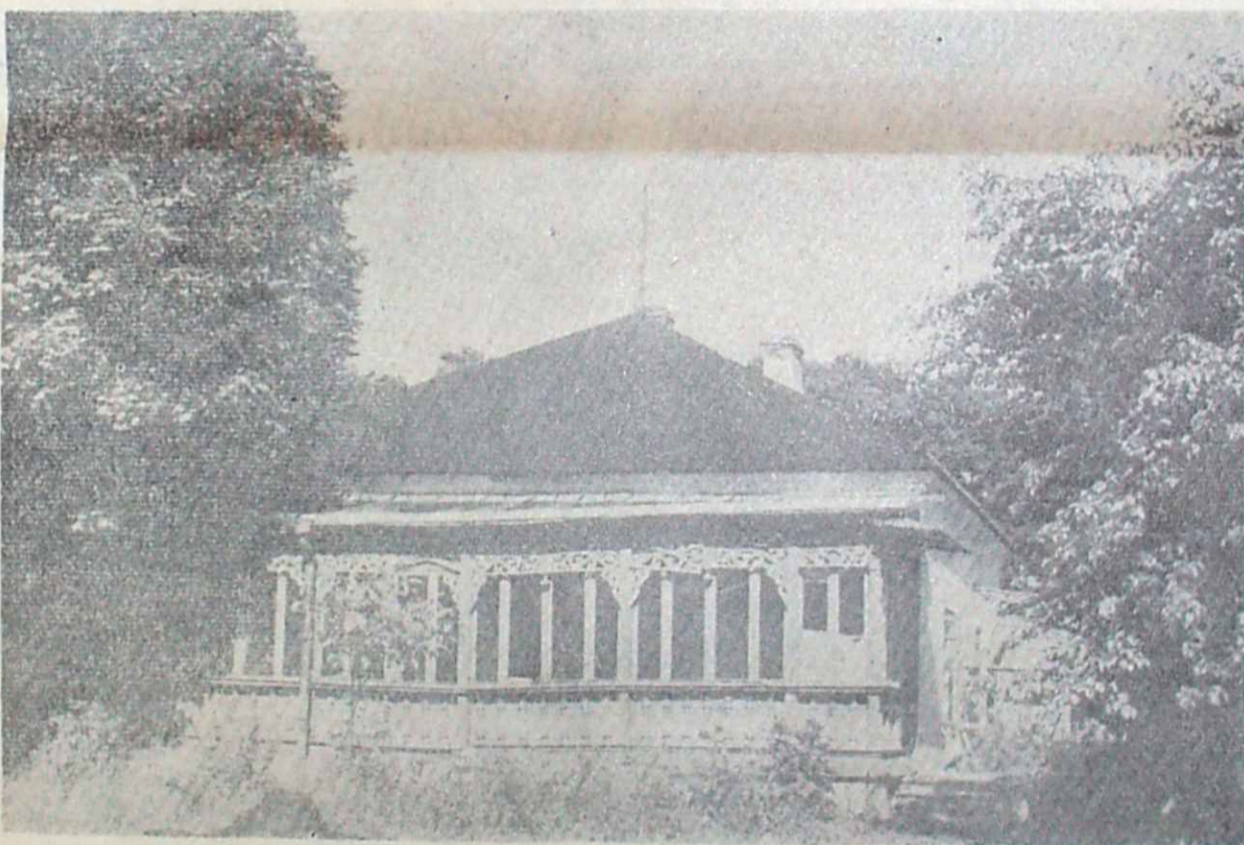


Foto W. Malicki

Domek Prusa przy Al. Lipowce w Nałęczowie

zasługa pani Oktawii? Na pół żartobli-  
we, na pół poważne listy „starego  
szlachcica” do niej wskazują na istnie-  
nie między nimi serdecznej przyjaźni.  
Stąd te nagłówki listów w rodzaju:  
„Szanowna Pani i Królowo moja”,  
„Szanowna Pani zastadająca w kole  
nieśmiertelnych bogiń” i inne w tym  
tonie i stylu. Pionun-Noyszewski pisał  
o filircie Prusa z Madzią Brzeską. Flirt?  
Na pewno nie, chociaż w Nałęczowie  
Prus bywał „otoczony wieńcem roze-  
śmianych pań” (według wspomnienia  
Piotra Choynowskiego). Były w tych  
listach i akty grzeczności, i sprawy  
niemal urzędowe, (jako że Pani Okta-  
wia była administratorką Zakładu  
Leczniczego), jak spłacanie ratami dłu-  
gów za pobyt w zakładzie itp. „Niech  
pani raczy wyprząść mi jakie miesz-  
kanko, jeżeli można, to gdzieś na pus-  
tyni, abym jak najrzadziej stykał się  
z rodzajem ludzkim, który mi obrzydł.  
I jeżeli nie zmieni się to w Nałęczowie  
stanowczo zostanę mizantropem”. Wy-  
starczało tej przyjaźni, aby stworzyć  
dzięki p. Oktawii postać Madzi w  
„Emanypantkach”. Jeszcze parę lat,  
a stanie się ona znowu modelką do

postaci Joasi w „Ludziach bezdom-  
nych”.

Zeromski wiedział i pisał w dzienni-  
ku o szlachetnym stosunku dwojga  
przyjaciół: pani Oktawii i mistrza  
„Olesza”, jak Prus siebie niekiedy na-  
zywał. Wiedział o tym Zeromski z  
listów Prusa do Oktawii, która dawała  
je do czytania. Sam miał dla Prusa  
wiele podziwu i uwielbienia. Prus stał  
się dla niego niemal opiekunem, tro-  
szczył się o jego losy pisarskie i oso-  
biste. Namawiał Oktawię do małżeń-  
stwa z początkującym pisarzem, sam  
natomiast mianując siebie „zdradzonym  
wielbicielem i sługą”.

W dziennikach Zeromskiego z tego  
czasu i w listach Prusa wiele jest  
o jego nałęczowskich czasach. Pisz-  
Prus do przyjaciół (sierpień 1891 r.):  
„U nas w sumie nic: deszcz — bale,  
deszcz — teatr amatorski, deszcz —  
koncert itd...” Ale w tym właśnie roku  
powstaje myśl, żeby Głowacki prze-  
nieśli się na stałe do Nałęczowa. Pi-  
sze o tym do Oktawii Rodkiewiczowej:  
„Milo mi również donieść Pani, że  
Zona w zasadzie zgadza się na wyjazd  
do Nałęczowa. Gdy więc Pani przyje-

dzie do Warszawy, zrobimy walną se-  
sję i sprawę tę obgadamy. Zdaje się,  
że kombinacja ta będzie dla całej  
mojej rodziny korzystną, ja zaś na-  
biorę sił i może wybrnę z rozmaitych  
interesów, w które wepchnęła mnie  
przede wszystkim własna naiwność”.  
Pani Głowacka oglądała nawet miesz-  
kanie w willi „Tolin”. Zona pisarza  
wzięła jednak zbyt dużo kąpielii bo-  
rowinowych, źle się po nich poczuła,  
i w ten sposób rozwiąły się plany za-  
mieszkania w Nałęczowie na stałe.

Pani Głowacka dziwnie mało miejsca  
zajmuje we wspomnieniach o jej mężu.  
Stoi jakby w cieniu, schowana za jego  
wielkością. Może brakło jej towarzy-  
skich zalet i źle się czuła poza własnym  
domem i gronem najbliższych? Zerom-  
ski nie był panią Prusową zachwy-  
cony. Notuje w dzienniku: „Potem by-  
liśmy tam (o p. Oktawii) na herbacie  
aż do przyścia pani Prusowej. Jest to  
dama nudnego autoramentu, ciężko nad  
podziw kombinująca — wynieśliśmy się  
też niezwłocznie”.

W owym czasie przebywali w Na-  
łęczowie z Emilkiem Trembińskim,  
krewnym i wychowankiem Głowackich.

Chłopiec zasługiwał na swój przydo-  
mek Psujaczka w zupełności. Wrażli-  
wy Zeromski nie znośił jego psot.  
Odnosił też w dzienniku Psujakowe  
wyczyny: „Wychowaniec Prusa, mały  
urwis, tak staje na głowie, że przy  
nim wysiedzieć trudno”. A dalej:  
„Psujak jest wychowawcem Prusa, ma  
lat z dziewięć. Wczoraj odkręcił  
wszystkie krany w hydropatii pod nie-  
obecność kąpielowych — i drapnął.  
Woda o mało nie zatopiła zakładu”.  
Nie bez racji jest przypuszczenie, że  
to Psujaczka sportretował później Ze-  
romski w postaci swawolnego Dyzla.

Prus czuł się więc w Nałęczowie  
coraz lepiej. „Szczerze mówię, że bardzo  
już chciałbym siedzieć w Nałęczowie,  
przypuszczam nawet, że podziałalby on  
nawet korzystnie na moją wytwór-  
czość...” Staje się niemal kronikarzem  
Nałęczowa, reklamuje jego zalety w  
korespondencjach i notatkach. W prze-  
wodniku „Nałęczów i okolice” (1897)  
czytamy: „Prasa na ogół odniosła się  
przychylnie do młodego zakładu, a  
szczególnym już jego przyjacielem był  
coroczny prawie gość tutejszy — Bo-  
lesław Prus”. Listy pisarza świadczą,  
że te wakacje były często niezwykle  
pracowite, a tylko dla odpoczynku  
zasiadał na rower i jeździł po lubelskiej  
szosie. A później przybył jeszcze apa-  
rat fotograficzny marki „Kodak”. Tiu-  
maczy się z jego kupna w liście do  
żony: „Oto... kupilem... sobie... aparat  
fotograficzny, z rozmaitymi dodatkami,  
na co, jak lodu, wydałem 22 ruble,  
pomimo że aparat jest nowy i dobry.  
Może pokiwasz głową, pomyślawszy, że  
jednak marnuję pieniądze... Ale w  
gruncie rzeczy tak nie jest. Bardzo bo-  
wiem często żałowałem, że nie umiem  
rysować, gdy szło o zanotowanie jakie-  
goś krajobrazu, sytuacji albo osoby”.  
Tak to technika poszła w służbę na-  
miętnego obserwatora ludzi i świata.

Dziwne jest to sumitowanie się z  
wydatku. Ale to prawda: Prus, mimo  
niechęty do wyjątkowej pracy, nigdy  
nie narzekał na zbytek pieniędzy, a  
wieloletnim jego marzeniem było po-  
zbycie się ostatnich długów.

Przez te trzydzieści prawie lat zmie-  
nia Prus w Nałęczowie miejsca pobytu.  
Warto by dokładnie sprawdzić i spo-  
rządzić taką mapkę miejsc, gdzie i kie-  
dy pisarz przebywał. To nie tylko pałac  
i jego oficyna, zakład, ale także dwór  
i tzw. mleczarnia Michała Górskiego,  
willa pod Matką Boską Raciborskiego i  
w głębi za nią — wybudowany podob-  
no specjalnie dla pisarza — tak zwany  
dziś domek Prusa. Warto by w niektó-  
rych z tych miejsc dać tablicę infor-  
macyjną, czego turyści bezskutecznie  
szukają.

(Dokończenie na str. 9)

wa Szczawińskiego, gdzie zebrano się kilku innych kolegów. Po kilku dniach Szczawiński odesłał nas furanką o parę mil, do obozu Staninkiewicza (...). Z oddziału Staninkiewicza przeszedłem z kilku kolegami do Bończy<sup>3)</sup> i zapisany zostałem jako koszyrnik do kompanii 4-tej, zwanej grenadierów. Znalazłem tu swego kolegę ze szkoły i przyjaciela, Aleksandra Głowackiego (Prusa), który był podoficerem przy prochu, uził ładunki w pace<sup>4)</sup>.

Aleksander Czarniecki, pseud. Bończa, był dowódcą oddziału współdziałającego z Karolem Krysińskim. Oddział ów, liczący około 300 ludzi, kreślił się wówczas na terenie Podlasia, w pobliżu Białej 6 maja połączone oddziały Czarnieckiego i Krysińskiego dokonały ataku na koszary w Międzyrzeczu. Tego samego jednak dnia oddział Czarnieckiego został rozbity w potyczce pod Dołhą. Zginęło wtedy 15 osób, 4 odniosły rany, a 8 wraz z dowódcą dostało się do niewoli.

Wspomnienie Luniewskiego potwierdziło rodzinna relacja, że Aleksander należał do partii Krysińskiego. Oddział bowiem, w którym Luniewski spotkał Głowackiego, dowodzony był początkowo przez Walentego Lewandowskiego, gdy ten zaś 24 marca dostał się do rosyjskiej niewoli, oddział okresowo przeszedł pod komendę Krysińskiego, a następnie dopiero Bończy.

Po uwięzieniu Bończy oddział rozsypany się, a Aleksander — pewnie powędrował do ciotki Cymanowej do Pu-

ław, stamtąd bowiem wysłał list do babki, mieszkającej w tym czasie w Józefowie Ordynackim pod Biłgorajem. Koniec maja zastał Aleksandra w Kielcach u brata. Z Kielc 31 maja wysłał rozpaczliwy list do swego nieco starszego kieleckiego kolegi, Mściława Godiewskiego, który już poprzedniego roku zdał maturę, a teraz przebywał w Warszawie, uczęszczając na kursy przygotowawcze do Szkoły Głównej.

Piszę do Ciebie pod wpływem smutnych wrażeń; kłopoty domowe, wiadomości z okolic Lubartowa, gdzie, jak wiesz, mieszkała moja rodzina, wreszcie list mojej Babki, wszystko to strasznie mnie znęcało. Może świeże powietrze zmienia nienormalny stan mojego zdrowia, gdyż za parę godzin wyjeżdżam, ale teraz, w tej chwili, umiem tylko płakać nad moim nieszczęśliwym położeniem. Kilka serdecznych wspomnień zgrzybiałej Babki, boleści i żal po mnie, w jednej chwili przemogły nad moją zimną rachubą, a słowa Brata „może już

W początku sierpnia znowu Głowacki był poza oddziałem i odwiedzał swego brata w Warszawie. Leon Głowacki, zakończywszy rok szkolny w Kielcach, udał się do Warszawy i oddał swe usługi dyspozycji Rządu Narodowego. Rząd Narodowy w lipcu wydelegował go w bliżej nie znanej misji politycznej do Wilna, skąd wrócił z początkami ciężkiej psychicznej choroby. Przyczynił się do niej oglądany tam obraz terroru Murawiewa i niebezpieczeństwa podróży<sup>5)</sup>.

Pobyt swój w Warszawie zrelacjonował Prus we wspomnianym już liście do Przyborowskiego:

Będąc w Warszawie w początkach sierpnia 1863 roku dowiedziałem się, że Brat mój mieszka w Hotelu Saskim (II-gie piętro, okno od Koziej). Poszedłem tam i zastałem Leona okropnie rozdrażnionego: nie chciał wychodzić z numeru i dawał mi do zrozumienia, że jest ścigany. Raz w mojej obecności modlił się i płakał. Wspominał też, że wraca z Wilna, dokąd jeździł odwiedzić jakoby

Oddział Zielińskiego znaleźliśmy pod wsią Krzydła w Lukowkim. Pomaszerowaliśmy w stronę Parczewa, w Lubelskie.

Zieliński przeznaczył mnie do konwoju furgonów obozowych.

Ponieważ miałem zawsze do rozporządzenia podwozy, korzystałem więc nieraz z tego moich bliźni znajomych, gdy, będąc zmęczonymi, przagnęli odpocząć na furze.

Najbliższe stosunki łączyły mnie z dwoma towarzyszami broni, z którymi poznałem się już dawniej — w oddziale „Dzieci Warszawskich” Zychlińskiego. Jeden z nich — student Uniwersytetu Moskiewskiego, książę Delecki, drugi — tak zwany przez nas „filozof” (...).

(...) ów „filozof” dostał od nas takie przeżycie z tej przyczyny, że nie wiele będąc od nas starszym, imponował nam swoją szeroką już, mimo młodych lat, wiedzą.

Tym filozofem był Aleksander Głowacki, tj. późniejszy Bolesław Prus.

Niedługo cieszyliśmy się jego towarzystwem w szeregach, gdyż w pierwszej potyczce, jaką stoczył potem oddział Zielińskiego, Głowacki otrzymał silną kontuzję i utracił przytomność.

Wspomnienie Horodyńskiego znajduje potwierdzenie w pamiętniku samego dowódcy<sup>17)</sup>. Zychliński objął dowództwo oddziału 5 lipca. Oddział stał wtedy w folwarku Deby koło Osuchowa i

Mszczonowa w rejonie Grójca. Później, gdy obozowali pod Jeziorną, otrzymał Zychliński od Rządu Narodowego rozkaz udania się w Lubelskie na pomoc generałowi Krukowi. Na dzień 21 sierpnia więc zarządził Zychliński dołączenie się do niego resztek po rozbitych oddziałach Kononowicza, Należca i Topora i, zromadziwszy je w Prażmowie, ruszył do Leszna — Woli, gdzie dołączyły się do niego inne oddziały, rozbite jeszcze w kwietniu i maju. Po tym scaleniu oddział „Dzieci Warszawskich” liczył 380 strzelców, 280 konnicy i 450 koszyrników. Zgodnie z rozkazem Rządu ruszyli wszyscy ku Czersku. Na noc piechota rozłożyła się tam w ruinach zamku książąt mazowieckich, a kawaleria na ulicach miasteczka. Tej samej nocy przeprowadzono oddział na trzech promach na drugą stronę Wisły. Zychliński, wykonując rozkaz, zdawał sobie sprawę, że prowadzi w Lubelskie oddział na pewną śmierć. Przewidywania znalazły potwierdzenie już drugiego dnia po przeprowadzeniu. Od Zielińskiego przyszła wiadomość, że oddział Kruka jest już rozbity i że około 17 000 wojska wysłanego w Lubelskie dla wytopienia jego wraca zszosą warszawsko-lubelską do Warszawy. Oczekując na broń, która miała nadejść od strony Miłosny, Zychliński musiał zbliżyć się do tej szosy. Aby uniknąć spotkania z licznymi patrolującymi oddziałami rosyjskimi, w dniu 25 sierpnia zdecydował się przeciąć ją w pobliżu wsi Żelazna i maszerować na Parysew. Podczas przekraczania szosy jednak oddział został zaatakowany przez jednostkę moskiewską pod dowództwem gen. Müllera von Zakamelski. W potyczce Zychliński został ranny. Wówczas, wycofując się, nakazał oddziałowi marsz w powiat lukowski, a dowództwo nad nim przekazał listownie Zielińskiemu. Sam ukrył się w majątku Brzeżanki u dziedzica Suchodolskiego. Zieliński miał odprowadzić oddział z powrotem na lewy brzeg Wisły. Rychło jednak do ranego dowódcy doszły wieści, że Zieliński zamiast za Wisłę pomaszerował w rejon Lukowa i tam został dwukrotnie napadnięty i rozbity.

Pierwsza z tych bitew rozegrała się 1 września pod wsią Białką, położoną 4 km na południe od Siedlec. Dwie kolumny rosyjskie, idące od Siedlec i Węgrowa na Luków, starły się z oddziałami Jankowskiego, Zielińskiego i resztkami oddziału po Zychlińskim.

Ta bitwa zakończyła powstańczą wódrowkę Aleksandra. W roku 1865, w liście do Godiewskiego, wyznał: „W tej przeszłości, w której mnie poznałeś, już nie ma mnie ja, dawny ja, pochno — wam jestem razem z nadziejami moimi pod Białką, skąd drugi ja wyniósł: dwumiesięczne szaleństwo, zwątpienie w tego rodzaju zabawy i kalectwo...”<sup>18)</sup>.

Nieprzytomnego Aleksandra zabrano z pola bitwy i jako jeńca umieszczono w szpitalu w Siedlcach. W aktach Wojennych Naczelników (vol. 10001), znajdujących się do roku 1944 w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, istniałateczka zawierająca dokumenty ze śledztwa przeciw powstańcowi Aleksandrowi Głowackiemu. Niestety, spłonęła wraz z innymi zbiorami. Streszczenie jej zachowało się tylko w pracy Jerzego Maliszewskiego pt. „Udział

## Powstańcze ścieżki 16-letniego Prusa

### BOLESŁAW PRUS W PRZEKŁADACH SERBSKOCHORWACKICH

Na tle ogólnych stosunków polsko-jugosłowiańskich, od czasów najdawniejszych po nasze, najbardziej wyraziście przedstawia się wzajemne poznawanie się drogą literatury. Tłumaczyli Słowianie południowi utwory pisarzy polskich, przekładali Polacy utwory pisarzy jugosłowiańskich. Zaczęła się ta wymiana w pełnym tego słowa znaczeniu w okresie romantyzmu, drugi okres jej nasilenia przypadł na międzywojenne dwudziestolecie 1918—1939, ale należałoby zrobić znacznie więcej.

Spośród wszystkich naszych pisarzy autorem w środowisku jugosłowiańskim najbardziej poczytnym i znanym, bo najczęściej tłumaczonym i wydawanym, jest Henryk Sienkiewicz. Znacznie mniej pożyty przekładów opublikowanych przypada na twórcę Bolesława Prusa. Z jego utworów powieściowych ukazały się w przekładach serbskochorwackich:

1) „Placówka” — przetłumaczona najpierw przez Mikolaja Manojlovicia-Rajka i ogłoszona drukiem pt. „Na mrtvoj straži” w odcinkach czasopisma „Narodne Novine”, Nr Nr 257—300 z r. 1896 i Nr Nr 1—45 z r. 1897; następnie przez autora anonimowego pt. „Straža, roman iz puczkog života” („Placówka”, powieść z życia ludu), drukowana w odcinkach 3—174 zagrebskiego „Obzor” z r. 1903, po czym wydana w formie książkowej również w Zagrzebiu w r. 1903; w r. 1907 powieść tę przełożył raz jeszcze Lazar R. Knežević („Mrtva straža”), a wydał „Srpski Književni Glasnik” jako s. XVI, t. III swojego Zabavnika, w Białogrodzie 1907.

2) „Faraon” — tłumaczony przez Milana Pribičevića, ale tylko fragment ogłoszony na łamach czasopisma Brankovo Kolo, Nr 28 z r. 1901; po raz wtóry fragment tej powieści przełożył Adolf Makaleli i ogłosił go w periodyku „Porbratim” z r. 1905. Przekład całości „Faraona” dokonał dopiero Stefan Musulin — drukował w odcinkach „Hrvatski Pokret” w Zagrzebiu w latach 1913—1914, następnie w formie książki ukazał się ten przekład również w Zagrzebiu w r. 1946.

3) „Lalka” — w przekładzie Juliusza Beneszića, w wydaniu „Maticej Hrvatskiej”, w Zagrzebiu 1946.

Twórczość nowelistyczną Bolesława Prusa reprezentują nowele:

1) „Z legend dawnego Egiptu” — w tłumaczeniu M. K., „Vijenac” Nr 10, z r. 1899 i „Zora” Nr 1 z tego samego roku.

2) „Antek” — przekład Radovana Kozuticia „Anta”, „Zabavnik” S.K.G. II Pripovetke, Beograd 1899.

3) „Grzechy dzieciństwa” — tłumaczone dwukrotnie: przez Mikolaja Szumonię pt. „Griješni Djetinjstva”, „Narodne Novine” 120—139 z r. 1899 i Dragoslawa Popovića, pod takim samym tytułem, „Bosanska Vila”, Nr 13—25 z r. 1905.

4) „Cienie” — tłumaczone również dwukrotnie: przez anonim. „Narodne Novine”, Nr 62 z r. 1899 i M. Gavazzięgo, pt. „Sjene”, „Omladina” 9/10 z r. 1920.

5) „Widmo” — w przekładzie F. K. pt. „Sablasi”, „Osvitova Knjižnica Mostar” 1901.

6) „Widziadła” — w przekładzie Juliusza Beneszića, wyd. „Prosvjeta” Nr 20, Beograd 1921.

7) „Opowiadanie lekarza” — tłum. Selim Rakoszev („Jezickova pripovjesta”), wyd. „Prosvjeta” Nr 5, Beograd 1906.

8) „Sen” — tłum. anonimowe („San”), „Obzor” Nr 43 z r. 1908, Zagreb.

9) „Powracająca fala” — w przekładzie L. K. Kneževića („Talas se vraća”),

się nie zobaczymy”, wtrącił mi w jakiś dziwny odmiot, czego... — nie wiem, nazywają to uczuciami, a ja w nie nigdy nie wierzyłem! [...]

[...] List ten schowaj, kto wie, czy nie będzie ostatnim ode mnie, a jeżeli od dziś za trzy tygodnie nie odbierzesz ode mnie wiadomości, to pomódł się za Twego przyjaciela, który zginął nieznany i niepoznany.

[...] Mój Mściśiu, jakież przecucie mówi mi, że zginę, przyjm więc moje błogostawieństwo.

Obyś został szanowanym i zadowolonym obywatelem kraju i pamiętał o mnie, duch mój często będzie koło Ciebie, wspierając Cię w Twoich zamiarach, ale hańba Ci, gdybyś mi chciał po śmierci uwłaczać<sup>19)</sup>.

List pełen jest złych przeczuć. Mieszka się w nim dojrzała świadomość coraz rozpaczliwszej sytuacji powstania z dziecięcym uczuciem, że ma tego wszystkiego już dość. Złe wiadomości z okolic Lubartowa, to pewnie wieści o bitwie pod Sobolewem, jaką 24 maja stoczyły tam oddziały Koskowskiego i Krysińskiego z oddziałami rosyjskimi pod dowództwem pułkownika Cwiecińskiego. Powstańcy stracili w niej 57 zabitych i 12 rannych, a straty moskiewskie były ponoć znacznie poważniejsze<sup>2)</sup>. Aleksander niepokoił się więc i o losy towarzyszy z oddziału Krysińskiego i o mieszkających w Lubartowie wujostwo Olszewskich, których mogły dotknąć represje.

Z listu wynika, że za parę godzin odejść Aleksander „na świeże powietrze”. Ledwie widoczny trop wieści nas za nim w Podlaskie, znów do oddziału Krysińskiego. Ten trop — to zanotowane przez Miłosa Kotarbińskiego wspomnienie o tym, że Prus podczas którejś z imieninowej uroczystości w redakcji „Kuriera Codziennego” i „Tygodnika Ilustrowanego” opowiadał, że uczestniczył w nocej zasadce na oddział moskiewskiej konnicy przy szosie pod Wołyniem, która zakończyła się ostrzeleniem i spłoszeniem przejeżdżającego nieprzyjaciela.<sup>15)</sup>

W konfrontacji z zestawionym przez S. Zielińskiego spisem bitw i potyczek historia się umiejscawia: w nocy z 10 na 11 czerwca oddział Krysińskiego połączony z jazdą Grzymały zaczął się pod Zbulitowem w lesie, przy drodze z Radzyna do Wołynia, na dwie rotę nieprzyjacielskie i zadał im porażkę. Zawarta w tekście wspomnienia charakterystyka dowódcy wskazuje również Krysińskiego.

Tu trop znowu się urywa. Gdyby Aleksander trzymał się zdecydowanie jednego dowódcy, przesiedlenie jego dróg nie byłoby tak trudne. Tymczasem z odnalezionych dotąd strzępków wspomnień widać, że przebywał coraz to w innej partii, przychodził do domu, znowu wracał. W lipcu spotkał go gdzieś Marian Dubiecki i w 1912 roku, w 6 dni po jego śmierci, w liście do Stanisława Krzemieńskiego napisał: „Pamiętam Prusa, gdy w lipcu 63 spotkałem go wracającego z obozu. Obraz to był zdrowia. Opowiadał swe wrażenia bojowe”<sup>16)</sup>.

naszego stryja (nigdy o nim nie słyszałem), eksnauczyciela, emeryta (...). Przesiadywałem u niego w hotelu po parę godzin przez kilka dni i ciągle widywałem gości. Byli to członkowie organizacji, z których najczęściej odwiedzał go Roman Zuliński, najdłuższej przesiadywał i najgoręcej usiłował uspokoić jego rozdrażnienie. Po kilku dniach musiałem wracać do oddziału (...)<sup>15)</sup>.

Tym razem już nie do Krysińskiego, ale do oddziału Dzieci Warszawskich, dowodzonego przez Ludwika Zychlińskiego.

Na obecność Aleksandra w tym oddziale wskazuje pamiętnik Wacława Horodyńskiego<sup>16)</sup>.

Horodyński pisał:

Z Zychlińskim udałem się do Czerska, gdzie po parodniowym marszu stanęliśmy nad wieczorem.

W grupie towarzyszy, z którymi żyłem się bliżej, był Aleksander Głowacki — ten, co w przyszłości zasłynął pod mianem Bolesława Prusa. (...)

Noc spędziliśmy wśród ruin zamku czerskiego (...)

Przebudzeni o świtanie, słyszymy rozkaz dalszego marszu w celu połączenia się z Wisłą z oddziałem Jankowskiego.

Ze wschodem słońca znaleźliśmy się nad brzegiem rzeki.

Przeprawę na promach i łodziach przez Wisłę odbyliśmy w nader wesołym nastroju, śpiewając chórem naszego mazurka.

Po wylądowaniu na brzegu przeciwnym doszły nas wieści niepomyślne, jakoby poprzedniego dnia wyruszyły z Warszawy w stronę Garwoli znaczne siły przeciwnika, przeuszające liczbą żołnierza kilkakrotnie nasz oddział.

Zalecono pośpiech, aby przejść szosą (lubelską), zanim owe wojska nadejdą.

Już byliśmy poza szosą — na gruntach wsi Żelazna i sąsiedniej Wola Starogrodzka, gdy doszły uszu naszych odgłosy strzałów karabinowych.

To dzielny nasz naczelnik Zychliński, czuwający w ariergardzie z kilkunastu kawalerzystami, rozpaczliwie odparł pierwsze ataki awangardy, złożonej z ułanów i kozaków.

Po upływie kilkunastu minut ujraliśmy wśród swoich szeregów czterech naszych ułanów, uwożących na trzymanej przez siebie desce okrytego ranami i brozącego we krwi naszego dowódcę (...)

Nasz oddział „Dzieci Warszawskich”, pozbawiony naczelnika, podał, rozdzielony na drobniejsze partie, w Siedleckie, gdzie oczekiwał nas Zieliński.

Partia, w której ja się znalazłem, miała pierwszy postój we wsi Dęba Male, u pp. Henrykostwa Karskich, którzy przyjmowali nas obiadem (...)

Z Dębej udaliśmy się do wsi Wielgolas (pod miasteczkiem Latowiczem). Wieś ta należała wtedy do Jana Ordęgi.



# POWIĄZANIA NAŁĘCZOWSKIE

(Dokończenie ze str. 7)

W ostatnich latach życia Prus był już w Nałęczowie zakochany bez reszty. Zachwyca się nim w listach. Interesuje się wszystkim, co się w Nałęczowie dzieje, a jego kronika o Nałęczowie w „Tygodniku Ilustrowanym” z 1907 roku stanowi niemal wyczerpującą historię osiedla. Wprawdzie angażują Prusa sprawy rodzinne — opieka nad Pameczkiem, a to trzeba żonie przywieźć dobrych powidel, pierniczów, czy 2 zabite pantarki; głównie zajmuje go jednak przyroda nałęczowska.

Mówią o tym we wspomnieniach liczni jego przyjaciele i znajomi. Kiedy młodzieńką Zuzannę Rabską — wtedy początkującą pisarkę — spotkał Prus w wąwozach nad książkami, pisarz powiedział do niej: — „A rzuć do licha wszystkie filozofie i anatomie! Przypatrz się lepiej drzewom, posłuchaj głosów ptaków. To ci da więcej, o wiele więcej”.

Podobnie mówi o ukochaniu Nałęczowa przez Prusa Artur Oppman, Piotr Choynowski, Tadeusz Hiż czy Jadwiga Waydel-Dmochowska. Najlepiej ujął to dobry przyjaciel Prusa, Władysław Rabski, opisujący wspólne przechadzki, a oprowadzał „kochanek Nałęczowa”, jak zwie Prusa: „...to głęboki znawca i miłośnik przyrody, to liryczny i pogodny, jasnowidz życia, człowiek pragnący świat cały do serca przycisnąć, spowiadał się przede mną z miłości swojej. I nie raziło mnie nawet, że Prus zachwycał się nad każdym widokiem, nad każdym drzewem, nad każdą krową nawet, jakby nie równie piękniejszego na świecie bożym nie było, bo w słowach jego nie dźwięczała sztuczna patetyczność angielskiego turysty, lecz szczerota i czułość serdeczna. On tu znał każdy krzak, każdą drożynę, każde dziecko chłopskie. To wszystko prawie że wyrosło pod jego okiem, więc nie dziw, że z pieczołowitością ojca spogląda w świat nałęczowski”.

W tamtych latach Prus stał się istotną częścią Nałęczowa. Wrócił w jego krajobraz i tak zastąpił w pamięci przyjaciół i tych, którzy go pamiętają. Ten portret Prusa, trochę już przymglony, Prusa pogodnego, dobrego, zakochanego w dzieciach, chętnie przekazują pamiętający go ludzie z Nałęczowa, choćby panowie — Skalski, Ciozda czy Górecki. Słusznie szczytają się tą znajomością.

Ten portret Prusa utrwalił się nie tylko dzięki wspomnieniom. W raporcie z Nałęczowa w „Tygodniku Ilustrowanym” z 1906 roku najprawdopodobniej jeden z przyjaciół Prusa opisał nałęczowską kolonię literacką, miejscowe tradycje, działalność Zeromskiego, a wreszcie słynne wtedy „wieczory dickensowskie”. Warto chyba ten fragment przypomnieć, bo mało kto zagląda do starych pism, a to wspomnienie nie wejdzie do przygotowanej książki wspomnień o Prusie:

„O zmroku zgrupowaliśmy się, by wspólnie, w sympatycznym kółku, odczytywać to, co dawałoby motyw do dyskusji albo pogawędki.

umarł rewolucjonista. Został po nim tylko, jako pamiątka na całe życie, lęk przed emocjonalnym stosunkiem do spraw politycznych i wielka nieufność do szukania wolności na drodze walki zbrojnej. W powracającym do książki uczniu rodził się trzeźwy pozytywista, który u schyłku pamiętnego roku 1863 wszedł na drogę, z której nie zszedł do śmierci.

Choć w liście tego wyraźnie nie napisano, są w nim przesłanki wskazujące na to, że Aleksander po krótkotrwałym pobycie w Lubartowie wrócił do Siedlec i zaczął chodzić tam do szkoły. To przypuszczenie sugeruje zdanie, że „tylko mam już przed sobą naukę i że do niej trzeba się silnie zaciepić — co też zrobiłem”, jak również podany na przysłość siedlecki adres. Zapisanie się Aleksandra do siedleckiej szkoły wynika również z jego sytuacji rodzinnej. Do Kielc nie miał już po co wracać, bo brata tam nie było, Olszewscy zaś mieszkali w tym roku w Lubartowie, dlatego w Lublinie brakło oparcia rodzinnego. Wrócił więc do szkoły, dokąd uczęszczał już w roku szkolnym 1861—62, kiedy brat był tam nauczycielem.

Niestety, możliwości nauki nie potrwali długo. W końcu grudnia został ponownie aresztowany pod zarzutem — całkiem dobrowolnego przynależ-



Stimak z „Placówki”. Rys. A. Kamiński.

Zaczął się od Klubu Piekwicka, a potem był i Nietzsche, i Forel, i Tetmajerowska „Rewolucja”. Zebrania nasze gromadziły i palestrę, i medycynę, i pedagogię, ale zaszczycał je przez wszystkich oczekiwany — Prus. Prus! Nie śmiem mówić o nim, nie chcę pisać o jego genialnym umyśle, szlachetnej duszy, gorącym, pełnym miłości sercu — bo on tego nie lubi.

Ale muszę wspomnieć o jednym. Nie widziałem nigdy człowieka tak bezgranicznie dobrego. Prus nie przejdzie obok ubożego, aby go nie wesprzeć, obok pracującego, aby mu dobrego słowa nie powiedzieć, obok dziecka, aby z nim nie pogadać, obok psa, aby go nie pogłaskać.

Prus, jeśli od dwu Żydówek kupi owoców, a od trzeciej nie ma do kupienia, to na pewno da jej kilkanaście groszy, żeby nie była „stratna”.

Nie mogło tu być ani słowa przesady,

skromny Prus — wtedy członek redakcji „Tygodnika Ilustrowanego”, nie byłby na żadną przesadę pod własnym adresem zezwolił. Tym większa waga tego świadectwa. Ta dobroć, którą zachwycał, ujmuje także w jego dziełach. Dziś, w czasach, kiedy literatura ukazuje nam najchętniej koszmara istnienia, Prus leczy nas swoją pogodą, godzi nas ze światem. Te przymioty osobiste Prusa, które zadziwiały jego współczesnych, on sam dostrzegł w krajobrazie Nałęczowa. Powiedział do jednego z przyjaciół: „Nałęczów — to nie Tatry, ale ja się tam czuję przynięciony dżikością olbrzymów granitowych, a tu wypoczywam w naturze, która ma więcej uśmiechów serdecznych niż królewskiego majestatu, więcej dobroci niż siły...”

Tadeusz Klak

macji uzyskanych od Dyrekcji i Liceum Ogólnokształcącego im. S. Zeromskiego w Kielcach i z Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Kielcach. 5) Dokładniej o tym w art.: Krystyna Tokarzówna: „Bracia Głowacki w powstaniu styczniowym”. „Twórczość” 1937 nr 6; K. T.: „Losy powstaniowe Leona Głowackiego”. „Twórczość” 1937 nr 15. 6) Relacja Cymonowej z Puław. 7) Ludwik Włodek: „Bolesław Prus”. Warszawa 1918, s. 15. 8) Przyjaźń ta potwierdza się w dalszej biografii Prusa. 9) Nie mylić z Konradem Tomaszewskim, pseud. Bołcza. 10) Aleksander Głowacki przed przybyciem do Kielc uczył się pół roku w Siedlcach. W czasie od 1 lutego do końca roku szkolnego 1861/62 uczęszczał do kl. V tamtejszej Szkoły Powiatowej. 11) Księga Pamiątkowa Siedlecian 1844—1905. Warszawa 1927, s. 91. 12) Obszerniejszy tekst tego listu, zachowanego jedynie we fragmentach, znajduje się w tomie „Listy”: Prusa, Warszawa 1959. 13) Miłozz Kotarbiński: „Kilka luźnych wspomnień o Bolesławie Prusie”. Świat 1936 nr 36—37. 14) B. Prus: Listy. Warszawa 1959, s. 6 komentarz. 15) J. w., s. 203. 16) Wacław Horodyński: „Rok 1863”. Warszawa 1916, s. 36—39. 40—43. 17) Ludwik Zychliński: „Pamiętniki”. Poznań 1885. 18) B. Prus: Listy. Warszawa 1959, s. 24. — W liście do W. Przyborowskiego z 16 III 1902 Prus napisał: „Dnia 15 sierpnia wzięto mnie do niewoli i do szpitala w Siedlcach...”. Wszystkie zacytowane wyżej fakty wskazują na to, że Prus nie pamiętał dokładnie daty swojej kontuzji. 19) Kazimierz Konarski: Archiwum Akt Dawnych w Warszawie. W książce: „Straty bibliotek i archiwów warszawskich”, t. 2, s. 183—184. Warszawa 1956. 20) Wg streszczenia przez J. Maliszewskiego akt sprawy A. Głowackiego. W książce: Jerzy Maliszewski: „Udział Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa) w powstaniu styczniowym”. Warszawa 1933.

Krystyna Tokarzówna

1) Pamiętnik Jana Stanisława Czarnowskiego, z. 4, s. 32. Warszawa 1921. 2) Wymienione miejscowości należały wówczas do województwa sandomierskiego. 3) Stanisław Ziełiński: „Bitwy i potyczki 1863—1864”. Rapperswil 1913. 4) Wg infor-



Pałac — Kursal — z przewodnika informacyjnego „Nałęczów i jego okolice” Warszawa 1897. (Jest to pałac Malachowskich, w którym obecnie znajduje się Muzeum Bolesława Prusa)

## PRUS PO 50 LATACH

(Dokończenie ze str. 1)

będzie się rozwijała także w dziale zbiorów ikonograficznych, w najszerszym zakresie możliwym do urzeczywistnienia. Prócz tego — ponieważ w 1962 r. przypada 50 rocznica zgonu Bolesława Prusa — 19 maja 1912 r. się to stało — wobec tego będziemy mieli okazję należytego uczczenia 50-lecia śmierci Prusa, w maju lub w ogóle w ciągu 1962 r., przez jakąś sesję naukową zorganizowaną z inicjatywy Muzeum i czynników naukowych na terenie Lubelszczyzny z czynnikami naukowymi centralnymi w dziedzinie naukowej. A więc jako jedno z zadań Muzeum występuje propaganda twórczości Prusa, pogłębiająca wiedzę o nim wśród szerokich warstw społeczeństwa.\*

Jak państwo widzą, już tylko na tym tle wyraźnie się zarysowuje, że to Muzeum musi być żywe, że z samej natury swojej, powinno być rozwojowe. Oczywiście, powinno być ambicją czynników państwowych i społecznych w Nałęczowie, ich przełożonych i kierowników, stworzenie także tutaj pracowni badawczej. Niech się tu pojawi placówka naukowa o twórcy „Placówka”.

Wiemy o tym, że jest już dość mocno zaawansowana sprawa budowy pomnika w Nałęczowie. To miał być zainicjowany w 1912 roku przez Henryka Wiercińskiego jeden z pierwszych pomników, gdy chodziło o uczczenie Prusa w kraju, ale do tej pory nie doszło do jego realizacji. Obecnie prace komitetu budowy pomnika są już w takim stadium, że można mieć nadzieję, iż naprawdę w bieżącym roku jubileuszowym Prusa rzecz zostanie dokonana pod kierunkiem organizacyjnym dyrektora Uzdrowiska, inż. Ludwika Monica, oraz poprzez projekty artystyczne powierzone Alinie Slesińskiej znanej rzeźbiarce.

Następne przedsięwzięcie, które zamierza się w Polsce na 50-lecie zrobić, idzie po tej samej linii; jest to jedna z rzędu charakterystycznych spraw, organizacyjnych w pewnym sensie. Gdy jeszcze w zeszłym tygodniu myślałem, że mam tu pewną rolę do odegrania w przemówieniu, które mi powierzyli organizatorzy i p. Przewodn. Dąbek, postanowiłem przypomnieć sprawę sfilmowania „Faraona”, bo pisałem o tym już w 1926 r., a teraz właśnie pojawiły się informacje prasowe, że polska szkoła filmowa będzie sama ten wielki trud podejmowała. Mam tylko jedno zastrzeżenie, nie podobala mi się już w pierwszej notatce opublikowana wiadomość, że zdjęcia mają być wykonywane w kraju. Jakże? „Faraon” — tylko w kraju? Czy do tego wystarczyłaby Pustynia Biedowska? Wydaje mi się, że trzeba będzie sięgnąć trochę dalej. Afryka tak bardzo daleko nie leży od Polski!

W każdym razie będzie to jedna z dróg popularyzacji filmowej wielkiego dzieła Prusowskiego wśród szerokich mas odbiorców polskich i obcych. Właśnie: i obcych. Państwo zobacz tam, na wystawie, gdzie są tłumaczenia ułożone według dzieł, nie według języków, że „Faraon” ma właśnie najwięcej przekładów, nawet na języki egzotyczne.

To były sprawy organizacyjne naszego Muzeum. A teraz o samym Prusie trzeba powiedzieć, przecież to Jego święto.

Przed wszystkim trzeba powiedzieć, że mimo setek pozycji bibliograficz-

nych o Prusie, o jego twórczości i życiu, do tej pory nie mamy dzieła opracowanego według nowoczesnych metod badawczych, — z zakresu sztuki, stylu, języka.

Są tego rozumiałe powody. Przed wszystkim to, że Prus pisał tak zwyczajnie, bezzadanie, jest najtrudniejsze do zbadania naukowego. Zastanawiamy tu porównanie: gdy się patrzy przez dobrze wyczyszczone szyby na krajobraz, widzi się krajobraz, a nie zauważa się szyby. Styl taki, gdzie koncepcja czy kompozycja w całej twórczości Prusa wydaje się tak oczywiście prosta — to jest właśnie ta przezroczysta szyba, poprzez którą oglądamy wielkie krajobrazy z życia polskiego i w ogóle z życia pojętego w sensie wieczystym. To jest specyficzna cecha postawy Prusowskiej jako artysty, jako myśliciela.

Otóż Prus był na początku swojej twórczości autorem tzw. dobrego humoru, dowcipów, małych konceptów. Pisał często w ten sposób, aby wywołać zainteresowanie, podciągnąć do zainteresowania poważniejszego. Długo lata tym „małym humorem” musiał operować w utworach o charakterze lżejszego i poważniejszego kalibru. Musimy pamiętać, że gdy wydał po kilku latach w 1874 r. całą masę drobnych „małego humoru” w książeczce pt. „To i owo”, napisał motto znane, tylko się je zapomina, ale jest ono charakterystyczne: „Dobry humor jest jak oset, który chętnie wyrasta na zwaliskach. Kalczy dobrze uformowaną gębę a cieszy niewymownie osłów”. I dodał przypominając cytując w 1890 r., gdy mu stawiano zarzuty, szczególnie Świętochowski, że „książka ta natychmiast została wyczerpana”.

Jak wspomnieliśmy, nie miał zamiaru tylko bawić. Dlatego już w tym samym studium, które ma pod wieloma względami charakter autobiograficzny, mianowicie w „Słódku o krytyce pozytywnej” w 1890 r. mówił o humorze, który jest cechą jego twórczości, jego poetyką i postawą twórczą.

„Humor [w odróżnieniu od dowcipu] polega nie na tworzeniu kombinacji fantastycznych, nie na grze wyrazów, ale na sumiennym oglądaniu rzeczy co najmniej z dwu stron: dobrej i złej, małej i wielkiej, ciemnej i jasnej. Dla optymisty każdy człowiek jest „porządny”, dla pesymisty każdy człowiek jest „podejrzany”; humorysta zaś, który bada ludzi wszechstronnie, w każdym człowieku widzi coś porządnego i coś lajdackiego”. „Humorysta w wielkim stylu niczego nie usiłuje zdobyć, nikogo nie nawraca i nikomu nie ulega; on raczej obserwuje wszystko i wszystkich z pobłażliwym spokojem. Nie uznaje żadnych dogmatów, nie uważa nic za konieczne, ani za niemożliwe, lecz tylko za prawdopodobne”.

Poetyką wielkiego humoru wywodzi się twórczość Prusa wprost z epiki Mickiewicza, a wśród trójcy czołowych współczesnych sobie powieściopisarzy polskich stał się, dzięki tej poetyce, klasykiem na miarę europejską, od Dickensa i Balzaca do Flauberta, Lwa Tolstoja i Czechowa. Sława Prusa rosła stopniowo, ale gruntownie, świadczą o tym wzrastające z biegiem lat nakłady jego wydań polskich i w przekładach na języki narodów świata.

Wróćmy jednak znowu do Nałęczowa, do ostatniego pobytu Prusa w ukończonym krajobrazie w październiku 1910 roku. Skąpy na słowa zachwyty, tak pisze do żony:

13.X.1910 „Dziś był dzień naprawdę majowy: dużo włożyłem się i żalowałem, że Ty nie widzisz tych cudów”.

16 października tego samego roku pisał: „Pogoda ciągle pyszna. W tej chwili pełny księżyc mam przed oknem, część parku nad stawem wygląda jak dekoracja z cudownej bajki”. I 21 października: „Gdybyś widziała noc onegdajszą księżycową... obudziłem się o 2 1/2 w nocy i nie mogłem się od okna oderwać. Nie ma równego poematu!”

W świetle poprzednich stwierdzeń najistotniejszych, dotyczących sztuki Prusa, to jedno powiedzenie „Nie ma równego poematu!” jest więcej warte, aniżeli moc tzw. zachwyty, szczególnie w stylu przesadnym pisanych przez wielu innych autorów.

I jeszcze jedna rzecz związana z Nałęczowem i naturalnie z Głowackim, to są te kąpiele ludowe im. Bolesława Prusa w 1904 r. tutaj, we wsi Charz powstałe z jego inicjatywy. Pamiętam, jak mi to opowiadała pani Maria Staniszevska, która wtedy była podczas uroczystości (możliwe, że są tu na sali osoby, które także ten fakt pamiętają), że gdzieś się Prus w tłumie zagubił. Tu uroczystość i imienia Prusa łączyły ludowe, i chcą go uhonorować, a on gdzieś się zapodział. Wreszcie go znaleziono w gromadzie ludzkiej, skromnego i zażenowanego.

## BOLESŁAW PRUS W PRZEKŁADACH SERBSKOCHORWACKICH

(Dokończenie ze str. 8)

wyd. „Savremena Biblioteka”, Beograd 1932.  
19) „Żywy telegraf” — tłum. Lukasz Perinić („Zivi brzojav”), wyd. „Obitelj”, Beograd 1938.  
20) „Anielka” — w przekładzie J. B. neszicia („Anjelka”), Zagreb 1933.  
21) „Katarinka” — tłum. Józef Haman („Orguljice”), „Slovenski pisci”, Zagreb 1941 i „Seljaska Sloga”, Zagreb 1948.  
Z utworów wreszcie drobnych ukazały się następujące:  
1) „Pałac i rudera” — tłumaczony dwukrotnie: przez M. Manojlovicia-Rakka („Palata” i „Czatrija”) „Novi Sad” 1883 oraz S. Rakoszeva („Palaca koliba”), wyd. „Prosvjeta” Nr 18, Beograd 1904.  
2) „Dziwna historia” — tłum. Józef Matić („Cudna historija”), Vijenac” Nr 38—39 z r. 1909.  
3) „Wystawa” — tłum. J. Matić („Izložba”), „Vijenac” Nr 38—41 z r. 1909.  
4) „Wieś i miasto” — tłum. anonimowe („Seljak u gradu”), kalendarz „Zivila Hrvatska” na rok 1907.  
5) „Kocha — nie kocha?” — w przekładzie V. B. („Voli — ne voli?”), „Pokret” Nr 18 z r. 1911.  
6) „Oto — jacyśmi” — tłum. Stefan Kranjčević („Evokakvi smo”), „Mlad Radista” Nr 1 z r. 1928.  
7) „Odważna dziewczyna” — tłum. anonimowe („Odvažna djevojka”) Kalendarz na rok 1932, Beograd.  
W sumie: 22 utwory, tłumaczone i ogłoszone drukiem 30 razy.

Stanisław K. Papierkowski

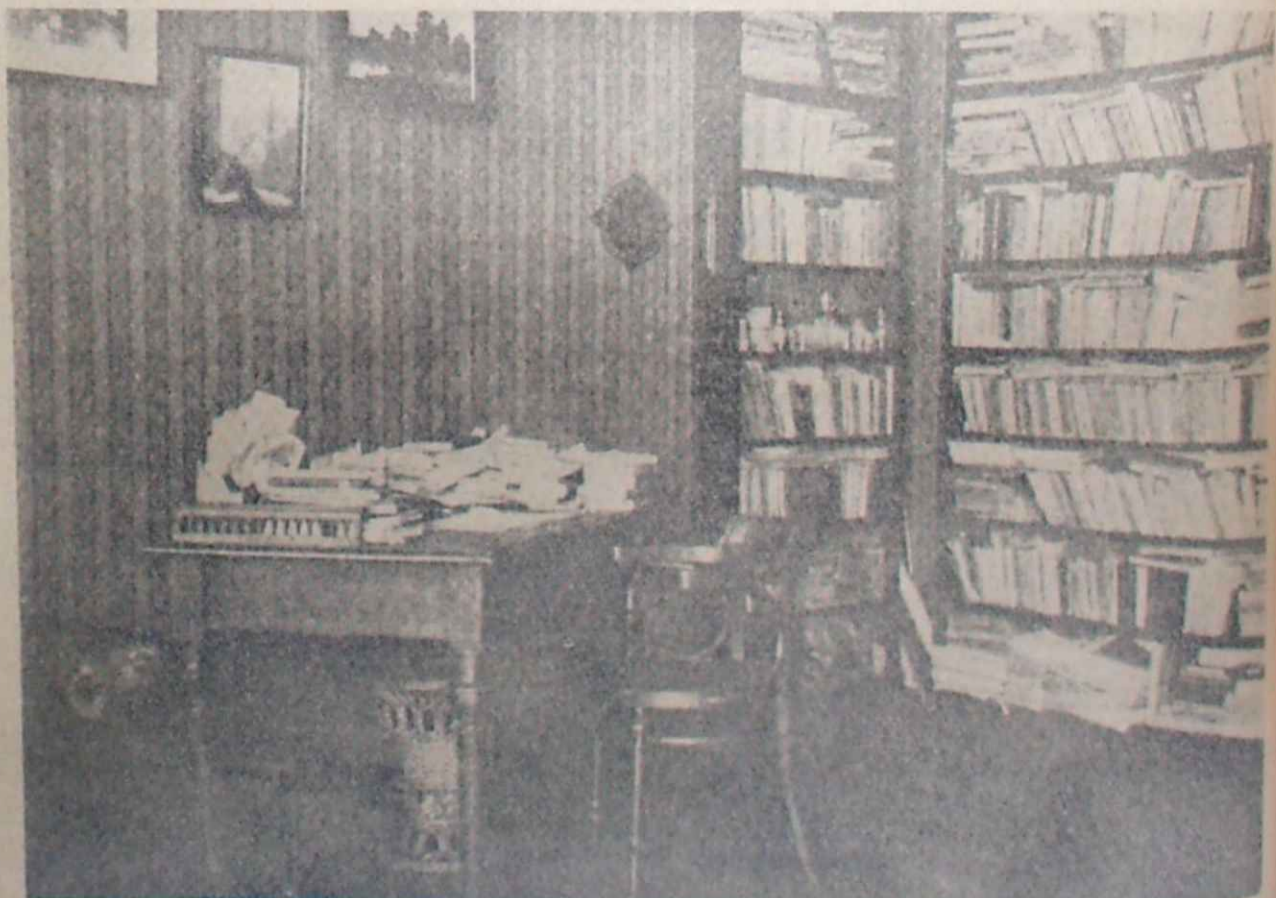
Więc pozwól państwo, że dziś zakończę to zagajenie w bardzo syntetycznych skrótach takim powiązaniem tamtych czasów z dniem dzisiejszym, takim przetrznięciem mostu jak gdyby między tamtym rokiem 1904 a dniem dzisiejszym 3 grudnia 1961 r. ta rzecz się dzieje.

Dzisiaj nie tylko nasz skromny Prus się nie ukrywa, ale możemy go pokazać w całej okazałości. Zejdźmy na dół, do sal muzealnych. Tam Aleksander Głowacki nas wszystkich przyjmie, nas wszystkich jako swoich gości i będzie już teraz dzień w dzień przemawiał w tym swoim kochanym Nałęczowie, w Pałacu Malachowskich, gdzie pisał „Placówkę”.

\* Sesja naukowa poświęcona twórczości Prusa odbyła się 11 kwietnia w Siedlcach z inicjatywy Oddziału Siedleckiego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Akcją jubileuszowych odczytów Prusowskich podejmuje Oddział Lubelski ZLP oraz kierownictwo Muzeum w Nałęczowie.

Feliks Araszkievicz

Materiały prusowskie do niniejszego numeru dostarczyli: kustosz Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie mgr Tadeusz Klak i mgr Stanisław Fita.-Red.



Gabinet Bolesława Prusa

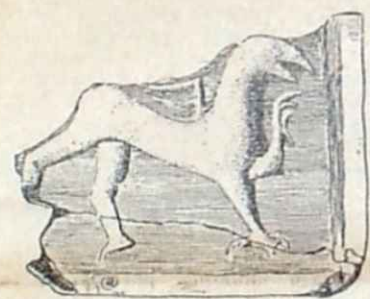
## Płynę

Kolorowe strzępy afiszów,  
zaulek, nad którym księżyc.  
Oplątany ciszą,  
płynę wśród pierzastych  
[wodorostów nocy,  
patrz milionem pawich oczu,  
Dlaczego tyle smutnych okien,  
dlaczego tyle mglistych światel?  
Płynę przez cień  
ku przyszłości  
smutny smutkiem mglistych okien.

RYSZARD KORNACKI

## Litość

Są wspomnienia  
strzeliste  
w zatraceniu oczu.  
Nie powracają już potem  
gaje owocowe o cichych  
[zapachach  
Jesteś wtedy chciwą  
chęcią pięciopalcząstą  
Pleciesz różańce  
paelerzy  
i twoich soczewek  
nie dotknął dzień.  
Przechodnie!  
Rozmieniajcie słońce  
dla żebra.



Zagadnienie kształcenia politechnicznego nie schodzi ze szpalt prasy. Problem nie jest łatwy — dyskusja coraz mniej ciekawa. Inicjatorzy kształcenia politechnicznego stale poddają rewizji swoje poglądy w tej sprawie, ustępują z pewnych postulatów, to znowu wysuwają nowe, a problem nie rusza z miejsca.

Ostatnio spór toczy się o liczbę godzin kształcenia politechnicznego. Pani Ida Altszuler („Życie Warszawy” nr 50 z dnia 28.II.62 r.) żąda wymiaru 6 godzin tygodniowo na kształcenie politechniczne jak gdyby wymiar godzin decydował o poziomie tego kształcenia. Istota sprawy kryje się w czym innym. Rozumie się, że większy wymiar godzin daje lepsze możliwości, ale równocześnie kurczy możliwości osiągnięcia wyników w zakresie przedmiotów ogólnokształcących. Dlatego też inne będzie spojrzenie na sprawę, tego co żąda, a nie ponosi odpowiedzialności za organizację nauczania, a inne tego, co musi organizować i odpowiadać za wyniki.

Z tych względów żądania dyskutantów są zawsze wygórowane, wypowiedzi przedstawicieli Ministerstwa Oświaty ostrożne i umiarkowane, bo oni biorą odpowiedzialność za to, co mówią, za organizację kształcenia i za jego wyniki.

Zwolennicy kształcenia politechnicznego żądają (i słusznie) wprowadzenia do siatki godzin postuluowanego przedmiotu w ilości 6 godzin. Dalsze kłopoty należą już do władz szkolnych. Taka postawa jest wygodna, lecz problemu nie rozwiązuje. Mogą być godziny, lecz przedmiotu nie będzie miał kto uczyć albo też nie będzie do tego warunków z braku pracowni i wyposażenia. W obu przypadkach przedmiot jest, tylko nauki nie ma, a jeśli jest, to nie da spodziewanych wyników.

Kształcenie politechniczne musi być — mówiąc językiem roboczym — postawione na nogi. Tego wymaga rozwój społeczny, potrzeby gospodarki narodowej i potrzeby bezpośredniego obiektu nauki — ucznia. W społeczeństwie socjalistycznym młodzież musi być wychowana w szacunku dla pracy fizycznej, musi znać jej wartość społeczną, musi mieć szacunek dla ludzi pracy, musi też sama być przygotowana do pracy.

To jest stanowisko bezsporne i wszyscy się z tym godzą. Problem polega na tym jak kształcenie politechniczne organizować, jak je realizować, by dało w efekcie spodziewane rezultaty.

W tym zakresie mamy dwa doświadczenia.

a) Radzieckie — realizowane w oparciu o zakłady pracy, gdzie jeden dzień w tygodniu uczniowie odbywają naukę teoretyczną i praktyczną, uzyskując poza świadectwem dojrzałości — świadectwo kwalifikowanego robotnika w zakresie danego specjalności uzyskanej w zakładzie pracy.

b) Doświadczenia NRD — gdzie uczniowie w zakładach pracy, pod kierunkiem specjalistów, poznają procesy produkcyjne, uczą się obsługiwać proste maszyny, posługiwać się narzędziami, poznają swoje zainteresowania, uczą szacunku do człowieka pracy, poznają społeczną wartość pracy fizycznej — otrzymują w ten sposób coś w rodzaju przysposobienia zawodowego.

## PROBLEMY Kształcenia POLITECHNICZNEGO

(Artykuł dyskusyjny)

JÓZEF SOBIERAJ

W oparciu o te dwa doświadczenia organizujemy u nas kształcenie politechniczne.

Warunki jednak u nas są inne i stąd trudności.

Ustalmy więc stan faktyczny naszych warunków.

1) W zakładach pracy brak kadr technicznych o przygotowaniu pedagogicznym.

2) w szkołach brak pomieszczeń na pracowni, brak kadr z technicznym przygotowaniem, niewystarczające jest wyposażenie w maszyny i urządzenia istniejących pracowni;

3) niechętny stosunek dyrekcji zakładów do przyjmowania całych klas uczniów na praktykę ze względu na brak stanowisk roboczych, opóźnienie wykonania planów produkcyjnych, co w okresie przejściowym jest nie do uniknięcia;

4) nieregulowane stosunki prawne — dyrekcje nie chcą przyjmować odpowiedzialności za nieszczytliwe wypadki przy pracy, nie ma przepisów regulujących problem rent inwalidzkich dla młodocianych uczniów — nie-

stałych pracowników, wypłaty odszkodowań itp. Jest problem zapłaty za wykonaną pracę, problem odpowiedzialności, problem uprawnień szkoły i dyrekcji zakładu w stosunku do uczniów odbywających naukę praktyczną w zakładzie pracy. Trzeba jasno zdać sobie sprawę, że w pełni nie jesteśmy w stanie oprzeć politechnicznego kształcenia o zakłady pracy. To jest możliwe i to nie w pełni w okręgach i miastach przemysłowych. W okręgach rolniczych trzeba szukać innego rozwiązania. Patrzę na ten problem w województwie lubelskim. W samym Lublinie jest więcej uczniów niż stanowisk w zakładach pracy, a w województwie na 57 szkół licealnych ogólnokształcących 22 jest w małych miejscowościach, gdzie nie ma żadnego zakładu pracy, w którym by młodzież mogła zdobywać naukę przygotowującą do zawodu. To są szkoły średnie — a politechniczne kształcenie rozpoczyna się w szkole podstawowej. Jak tam organizować kształcenie politechniczne — oto problem, który zmusza do zastanowienia się: kto ma uczyć, jak ma uczyć i w oparciu o co ma uczyć?

W tych warunkach, wprowadzenie do programu przedmiotu „kształcenie politechniczne” i danie szkole programu, sprowadzi sprawę do fikcji, jeżeli: nie przygotuje się kadr nauczycielskich o wykształceniu technicznym, nie zorganizuje się dobrze wyposażonych pracowni zajęć praktycznych.

To naciągane konieczność pobudowania kilkunastu tysięcy pracowni i wyposażenia ich w narzędzia, warsztaty i maszyny.

Na ten cel nie wystarczą nawet setki milionów złotych, to łatwo przekroczy miliard. A więc trzeba uruchomić poważne sumy pieniędzy i wielkie ilości materiałów budowlanych. To już zależy nie od samego Ministerstwa Oświaty, tu potrzebny jest głos ministra finansów i ministra budownictwa.

Dlatego pełna realizacja politechnicznego kształcenia wymaga czasu, a nie tylko liczby godzin w siatce organizacyjnej szkoły. Zrozumiałe jest zatem ostrożne stanowisko Ministerstwa Oświaty.

Wydać mi się, że problem wyposażenia szkół winien w znacznej mierze oprzeć się na czynniku społecznym. Komitety opiekuńcze, rodzicielskie, szkoły zawodowe mogą w sprawie wyposażenia szkół wiele uczynić w ramach czynów społecznych. Przyspieszy to, łącznie z wysiłkiem państwa, problem należytej realizacji kształcenia politechnicznego.

Józef Kuźnicki

WANDA HANDZLIK

## Matka

Jakie wiatry  
tępiły na tobie ostrza  
jakie słońca  
grzały twoje plecy  
gdy skinięciem żyłastym  
otwierałaś dzień

Ile ziemi uniosłaś  
w pasiastym fartuchu  
że na rzęsach złoceją  
dwie pszeniczne łuski

Ile rzek przepływało  
przez twoje oczy  
że pod powiekąj zostało  
tyle kropel deszczu

Więc po co matko  
przykręcaś knot  
i zagarniasz światło  
w ciepły kłębek dłoni

## Aby nowe treści kultury dotarły pod strzechy

(Dokończenie ze str. 4)

mieszkania; proste gustowne meble, dobry obraz na ścianie. Działalność w tej dziedzinie, pozornie blaha, napotykać jednak na duże przeciwdziałanie zacofanych, kołtuńskich sił na wsi, staje się ważnym elementem pracy wychowawczej.

W pracy kulturalno-oświatowej ZMW stara się łączyć pielęgnowanie kultury i sztuki ludowej z wprowadzaniem nowoczesnych treści kultury i cywilizacji miejskiej. U młodzieży wiejskiej rodzą się bowiem ambicje zrównania się ubraniem, zachowaniem się, znajomością problemów codziennego życia kraju — z młodzieżą miejską. Stąd też tradycyjne świetlice wiejskie zaczynają być w wielu miejscowościach za ciasne i zaczynają się przekształcać w kluby, kawiarnie, gdzie można porozmawiać, wypić kawę lub orzeźwiający napój, potańczyć przy muzyce jazzowej, wziąć udział w spotkaniu z pisarzem, czy działaczem kultury, obejrzeć ciekawą wystawę współczesnego malarstwa, pokazać mody itp.

Tych klubów i kawiarenek wiejskich nie ma u nas jeszcze wiele. Ale zorganizowanie klubu lub kawiarenki kosztuje — i lokal musi być oddzielony, i urządzenie nowoczesne, więc sprawa jest dość trudna. Wiele kół ZMW gromadzi już pieniądze na takie inwestycje.

Rozwój kawiarenek i klubów będzie w przyszłości na pewno szybszy, bo w wyniku pozytywnej oceny ich działalności dotychczasowej przez Centralę Rolniczych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” będą one organizowane w ramach związkowych zespołów przysposobienia spółdzielczego.

Praca nad upowszechnieniem kultury na wsi wymaga ściślejszej koordynacji wysiłków ze strony wszystkich instytucji i organizacji działających w środowisku wiejskim. Jak dotąd znikomym jest w tej dziedzinie udział powiatowych domów kultury. Poza domem kultury w Puławach i Lubartowie, wszystkie inne ograniczają swoją działalność tylko do miasta. Do wyjątków należą fakty pomocy zespołom na wsi. Np. pracownik Domu Kultury w Białej Podlaskiej, odpowiedzialny za pracę terenową, był w ubiegłym sezonie na wsi zaledwie 7 razy. Nie lepiej jest we Włodawie.

Poważnej poprawie winna również ulec praca kin wiejskich. ZMW postuluje, by powiązać działalność tych kin z pracą organizacji społecznych i uatrakcyjnić ich programy. Działalność młodzieżowi są zdania, że należy rozpocząć budowę kin na wsi według dokumentacji typowej, uwzględniającej również pomieszczenia dla innych instytucji, jak biblioteka i świetlica, oraz skoordynować napływ środków na ten cel. Należy:

— planować sale widowiskowe w budowanych na wsi domach ludowych, remizach, szkołach, a przede wszystkim szkołach Tysiąclecia;

— organizować na wsi kina spółdzielcze i społeczne.

Świadomi tego, jak wielki zasięg kulturalnego oddziaływania może mieć na wsi telewizja, postulujemy:

— gromadzenie środków przez wszystkie organizacje działające na wsi na zakup telewizorów dla świetlic wiejskich oraz organizowanie dla młodzieży wiejskiej kursów obsługi telewizorów.

Sprawa ta staje się szczególnie aktualna w związku z oddaniem do użytku stacji przekątnikowej w Bożym Darze.

Działalność kulturalno-oświatowa ZMW winna znaleźć szerokie poparcie wśród wszystkich instytucji i organizacji społecznych. Zmierzając ona w kierunku przygotowania młodych ludzi do przyjęcia kultury socjalistycznej.

Koła ZMW poprzez codzienną kon-

kretną działalność pokazują młodzieży, że można — i jak można, zmieniać życie na wsi na lepsze. Ukazanie realnych perspektyw życiowych, zawodowych, kulturalnych, rozwoju osobowości i talentów jednostki, jej awansu przez pracę — jest przecież jednym z najdonioślejszych dokonań kulturotwórczych danej grupy ludzi, danej organizacji. Od tego zaczyna się świadome kształtowanie przez jednostkę swej osobowości, wypracowanie swej pozycji społecznej, aktywność w stosunku do życia, poszerzenie horyzontów umysłowych i potrzeb kulturalnych. Od tego momentu jednostka zaczyna świadomie i kierunkowo wybierać wartości ideowe i kulturalne zbliżające ją do celu. Zdobywa aktywną postawę społeczną.

Toteż jesteśmy zdania, że koło ZMW wtedy ma szansę rzeczywistego kształtowania aktywnych postaw społecznych swych członków i młodzieży, jeśli prowadzi działalność wszechstronną, zmieniającą powoli życie wsi.

Jeśli koło prowadzi szkolenie rolnicze, zespół PR bierze udział w czynach społecznych, współdziała z kółkiem rolniczym, z GS, z gromadzką radą, z nauczycielstwem, jeśli jest wyczułone na przejawy krzywdy społecznej, nieposzanowania mienia publicznego, na biurokracizm władz miejscowych, zjawiska klikowości i kumoterstwa — wchodzi wtedy w mechanizm konkretnego życia społecznego, poznaje go, uczy się samodzielności sądu, działania, odpowiedzialności, a więc kultury współżycia społecznego. Gdy natomiast zajmuje się tylko wiedzą rolniczą i techniką, może kształtować niezłych rolników — fachowców. Gdy rozwija tylko czytelnicwo, pracę świetlicową, działalność rozrywkową, oglądanie filmów, telewizji, uprawianie sportu i turystyki, może niezłe zaspokajać potrzeby kulturalno-rozrywkowe młodzieży, lecz kształtuje „człowieka zabawy”, którego nie poza kulturalnym wyżyciem się nie pasjonuje. Jest to już dużo. Ale o wiele za mało, by mówić o przyswajaniu sobie przez młodych ludzi kultury socjalistycznej.

Nowoczesny ruch kulturalny, w którym jest miejsce na uwspółcześiony artystyczny ruch amatorski i na klub telewizyjny, powinien iść w parze z rozwijaniem wśród uczestników kultury umysłowej. Zaspokajanie tylko potrzeb kulturalnych i rozrywkowych, bez jednoczesnego rozwijania kultury umysłowej uczestników, grozi wyjałowieniem działalności kulturalnej z wszelkich treści i sprowadzeniem jej do działalności zabawowej.

(Dokończenie ze str. 2)

warzystwo Przyrodników im. M. Kopernika) i in.

Praca ich i działalność jest różnorodna. Wiele wysiłku włożono w wydobywanie wartości kultury lokalnej, w ich utrwalanie i popularyzowanie wśród społeczeństwa. W związku z tym rozwinęto szeroko działalność odczytową, zapoczątkowano lub kontynuowano wydawanie publikacji (Hrubieszów, Lubartów, Chełm), zorganizowano i zaprojektowano szereg muzeów regionalnych (Luków, Lubartów, Hrubieszów).

Obok przesłanek tzw. regionalizmu tradycyjnego, zjawily się pewne formy i treści nowe.

Zbliżenie warsztatu naukowego do środowisk odległych od ośrodków badawczych ma niemałe znaczenie dla podniesienia ich autorytetu i budzenia szerszych zainteresowań. Widomym tego wyrazem były sesje naukowe w Lukowie, Chełmie, Kraśniku, organizowane przez Polskie Towarzystwo Historyczne (Oddział Lubelski), i zupełnie specjalna sesja naukowa w Krzczonowie, urządzona staraniem Towarzystwa Miłośników Regionu Krzczonowskiego.

Tematyka tych sesji, związana z historią współczesną, dotyczyła przede wszystkim ruchów wolnościowych na określonych terenach i wkładu regionu lubelskiego w ogólny ruch wywoleńczy.

Niektóre koła i towarzystwa postawiły sobie również zdecydowanie za cel — współdziałanie w nowoczesnym społeczeństwie, co jest niewątpliwie nową cechą ruchu regionalnego, mającą poważne znaczenie dla sprawy rozwoju oświaty, gospodarki i dla ogólnej aktywizacji społecznej.

Zaczyna się to wyraźniej w towarzystwach nowo powstałych. Ciekawie rozwija się działalność Towarzystwa Miłośników Regionu Krzczonowskiego (powstało 9.X.60 r.), którego zainteresowania wiążą się z tym, że Krzczonów jest ważnym ośrodkiem ogromnego obszaru rolniczego. Warto podkreślić, iż Towarzystwo postanowiło „działać na rzecz podnoszenia kultury wsi przez społeczne urządzenia kulturalno-oświatowe, komunalne, dla rozwoju gospodarki rolnej — na drodze do nowej

wał”. Podjęto konkretny program działania w zakresie budowy szkół, domów ludowych, zakładania uniwersytetów powszechnych, chórów, teatrów, zespołów muzycznych i popierania samorodnej twórczości artystycznej na wsi oraz związanej z tym akcji wydawniczej. Podjęto inicjatywę rozbudowy sieci dróg, ośrodków zdrowia, służby weterynaryjnej, wodociągów, pralni, łaźni, ośrodków nasieniowych itp. W łączności z naukowcami Lublina przewiduje się podjęcie starań o pomoc kółkom rolniczym regionu, organizowanie próbnych ośrodków hodowli nasion traw, zapoznanie z mechanizacją w rolnictwie, w ogóle — podnoszenie kultury rolnej.

Ta działalność ma wyraźne dążenia integracyjne w stosunku do ogromnej grupy rolników, stwarzając tym samym właściwą platformę dla pracy kulturalnej.

Praca środowiskowa wśród młodzieży może się pochwalic Kolo Balczan (w Białej Podlaskiej). Szeroką działalnością na terenie miasta i powiatu prowadzi Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej.

Działalność ta nie jest tylko tradycyjnie badawczo-historyczną, sięga ona do dzisiejszych spraw artystycznych i oświatowych. Nie zaniedbuje też momentów towarzysko-rozrywkowych (klub-kawiarnia), co wnosi pewne ożywienie i wpływa na wytworzenie się wśród różnorodnych grup środowiskowych (o odśrodkowych nieraz dążnościach) — spójni społecznej.

Trudno wliczać tutaj wszystkie poważne osiągnięcia, wszystkie ciekawe plany poszczególnych kół i towarzystw. Nie można jednak zapominać, że obok stowarzyszeń, o których mówimy, są całe grupy ludzi i środowiska ze śmiałyimi planami i poważną inicjatywą społeczną, skupiające swoją pracę wokół placówek kulturalno-oświatowych rozsianszonych po całym województwie lubelskim.

Pracuje przecie 177 uniwersytetów powszechnych, 510 punktów odczytowych TWP, 690 zespołów świetlicowych, 1780 punktów bibliotecznych, 78 zespołów artystycznych, 40 społecznych ognisk artystycznych, pracują wiejskie domy kultury i wiejskie kluby.

Na uwagę zasługuje wysiłek powiatu lubartowskiego, który rozpoczął poważ-

nie pracę dla podniesienia poziomu kulturalnego swego regionu tworząc 65 żywych ośrodków skupiających wokół szkoły działalność placówek oświatowo-kulturalnych, na placuźnie inicjatyw grup społecznych.

Za przykładem Lubartowa poszły samorzutnie powiaty: lukowski, chełmski, janowski, krasnostawski, dążąc planowo do rozbudzenia ruchu zespalażącego, do przełamania bierności, do podniesienia poziomu kulturalnego wielu środowisk wiejskich i miast.

Wiemy, że zaprzyjaźnione z nami województwo rzeszowskie ma na tym polu swoje duże osiągnięcia, że stara się przełamywać stare formy i treści na rzecz współczesnej problematyki i współczesnych sposobów działania.

Województwo kieleckie, tak bogate w tradycje historyczne, ma swoje problemy szczególnie w związku z rozwijającymi się szybko miastami swego regionu.

Województwo białostockie, mając bardzo zróżnicowaną ludność, napotyka dodatkowe trudności w rozwiązywaniu zagadnień ruchu regionalnego. Na uwagę zasługują tutaj coraz bardziej rozwijające się koła przyjaciół bibliotek, zespalające również i środowiska wiejskie.

Wszędzie szereg towarzystw łączy coraz bardziej swoje zadania z problemami społeczno-gospodarczymi środowiska i regionu. Obserwuje się stopniowe przechodzenie od treści starej do treści nowej z wykorzystaniem form tradycyjnych bliższych i zrozumiałych dla społeczeństwa.

Organizacja regionalna nie jest cynikiem wpływającym na odosobnienie pewnej grupy etnicznej, odciecia jej od elementów napływowych, przeciwnie, przyspiesza ona proces zespalańia się różnych grup składowych naszego społeczeństwa. Przejawy procesu integracyjnego są już dostrzegalne w różnych dziedzinach życia.

Problem kultury mas staje się jednym z centralnych problemów dzisiejszej doby. Pozwolę sobie zacytować na zakończenie słowa prof. Bogdana Suchodolskiego:

*„Nasza epoka jest epoką, w której społeczna rola nauki niebawem wzrasta... musimy kształtować nową świadomość historyczną współczesnego społeczeństwa i dbać o jego kulturę umysłową... Socjalizm wzywa do podjęcia odpowiedzialności za kształt teraźniejszego i przyszłego życia”.*

Edward Nadulski

i handlu — Informator m. Lublina” i tym podobne. Te broszurki były bardzo poszukiwane i dawały pewny, choć niewielki zysk.

Ale Głowiński miał plany szerokie i ambitne. Pragnął po swojej pracy pozostawić pamiątki trwałe. Trzy więc książki opuściły w roku 1921 oficynie przy ulicy Kościuszki 8. Jedną naukową — „Bolesław Prus i jego ideały życiowe” — autor dr Feliks Araszkiewicz, był to debiut znanego w Lublinie polonisty i społecznika, jednocześnie podanie ręki koleźce i przyjacielowi. Druga pozycja: „Djabel wcielony” Radigueta, głośna wtedy powieść, wydarzenie literackie na zachodzie. Przywiózł ją z Paryża Bobrowski i przetłumaczył, a Głowiński wydał. (Ta sama książka w innym przekładzie ukazała się niedawno na półkach księgarskich pt. „Opętanie”).

Wydanie zbiorku poetyckiego Kazimierza Andrzeja Jaworskiego pt. „Księżycowy Mustang” było czymś ze wszelkich miar godnym uznania. Jaworski był młodym poetą nie popieranym przez żadne klki, ani koterie społeczne — nie mógł więc liczyć na warszawskich wydawców. Pierwszy swój tomik pt. „Czerwonej i białej kochance” wydał w Chełmie, własnym sumptem, brzydko i ubogo. Głowiński dał mu dobry papier i ładną okładkę. Wyszła więc ładna książeczka.

Z tych trzech pozycji chyba tylko „Djabel wcielony” mógł liczyć na większą poczytność i przynieść wydawcy jakiś zarobek. Dwie pozostałe były absolutnie deficytowe.

Na początku roku 1925 Głowiński zaczął wydawać „Przegląd Lubelsko-Kresowy”, ilustrowany dwutygodnik poświęcony życiu społecznemu, kulturalnemu i gospodarczemu na terenie województwa lubelskiego, wołyńskiego i poleskiego. „Przegląd” był drukowany na ładnym papierze, zawierał liczne ilustracje i dość bogatą treść, która, zgodnie z obietnicą, obracała się w kręgach społecznych i gospodarczych. Ponadto w każdym numerze był przegląd teatralny, muzyczny i sporo miejsca poświęcono również klasyce.

W tym miejscu przypomina mi się zabawna historia, którą muszę przytoczyć. Lubelscy plastycy urządzili zbiorową wystawę, na której retrospektywnie pokazali cały swój dorobek i ogromnie byli z tego dumni. Zwrócili się więc do Głowińskiego z prośbą, by w redagowanym przez niego dwutygodniku ukazało się obszernie sprawozdanie z wystawy. Lecz ponieważ nie mieli absolutnie zaufania do krytyków miejscowych (choć już wtedy działał i pisywał nie byle jaki znawca — Wiktor Ziółkowski), wyrazili życzenie, by recenzję napisał wybitny krytyk stołeczny. Głowiński się zgodził dać lamy swego pisma na obszerny artykuł i obficie go zilustrować reprodukcjami omawianych obrazów, lecz pod warunkiem, że koszty przyjazdu warszawskiego krytyka i jego honorarium pokryją zainteresowani malarze. Umowa została zaakceptowana przez obie strony. Wybór padł na znakomitego znawcę malarstwa Wacława Hussarskiego. Wyplacono więc oznaczoną kwotę. Hussarski przyjechał, zobaczył i... zerznął malarzy w sposób bezwzględny. W świecie artystycznym zawrzało. Najboleśniejsze było to, że kwestionować kompetencje krytyka nie mogli, gdyż go sami wybrali, a pikantną stroną było, że tę łączność otrzymali za własne pieniądze. Toteż złośliwych dowcipów na ten temat krążyło mnóstwo.

Od maja 1925 r. „Przegląd” powiększył się o dodatki literackie. Selekcja umieszczanych tam prac była staranna i podwójna — pod kątem artystycznych wartości utworów (gdzie doradcą był Gralewski) i osobistych sympatii Głowińskiego. W rezultacie niewielu się tam produkowało. Jaworski — sporo wierszy oryginalnych i przekład z Erenburga, Józef Czechowicz — wiersze oryginalne, Bobrowski — przekład Radigueta w odcinkach, i moja spora nowela pt. „Jabłko Parysa”. Więcej nie zdążyliśmy tam nie umieścić, ponieważ pismo na feralnym trzynastym numerze zakończyło swe istnienie.

Dom Wydawniczy przetrwał nieco dłużej. Lecz kres wszelkiego tego rodzaju przedsięwzięciom położył kryzys. Zreszta Głowiński za parę lat przeniósł się na stałe do Warszawy, gdzie zajął poważne i eksponowane stanowisko w Związku Wydawców. Później przyszła wojna i okupacja. Oddał się pracy podziemnej. Został aresztowany, wywieziony, wszelki śluch o nim zaginął. Nie udało się ustalić nawet, w jakim obozie został ostatecznie zamordowany.

Konrad Bielski

(Dokończenie ze str. 4)

Ostatecznie pisywali w „Nowym Życiu” — Józef Czechowicz (tylko pod pseudonimem Józef Leśniewicz), Kazimierz-Andrzej Jaworski, Stanisław Grędziński, Tadeusz Bocheński, bezpośrednio i pod wieloma pseudonimami, autor tych słów (jako Wacław Ziemię i Tomasz Ptak) i paru jeszcze innych, występujących bądź jako kronikarze, lub dostawcy artykułów treści ogólnej.

Pismo oczywiście miało krótki żywot. Wyszły ogółem cztery numery, w tym jeden podwójny. W życiu artystycznym Lublina żadnej roli nie odegrało. Jakiż więc cel przysięwał Zbikowskiemu, aby bezpowrotnie utopił sporo gotówki i w zamian nic nie uzyskać. Bo przecież w tych wszystkich numerach nie ma nawet tego bojowego tonu, obrazoburstwa i szargania świętości, którym było przepelnione całe jego życie. Jakby jakiś kompromis, czy też zawieszenie broni.

Często i poważnie się nad tym zastanawiałem i doszedłem do pewnych hipotezycznych wniosków. W pierwszym numerze „Nowego Życia” znajduje się kilka utworów podpisanych pseudonimami, których na razie nie mogłem rozszyfrować. Są to niestety plody zdecydowanie grafomańskie. Mam jednak poważne podstawy myśleć, że wyszły one spod pióra wydawcy. Zdaje mi się, że Zbikowski znalazł się w sytuacji tego jegomościa z anegdoty, co to zakupił browar, żeby się napić piwa. Założył pismo literackie, aby w nim umieścić, a właściwie przemycić swoje utwory. Może się ludzi, może myślał, że jego pismo stanie się ważnym ośrodkiem artystycznym i że na tych lamach jego muza rozwinie szeroko swe skrzydła. Nie wiem. Wiem natomiast, że nigdy już nie wrócił do literatury.

Zbikowski został adwokatem. Bronił w wielu procesach politycznych (był jednym z obrońców Ireny Kosmowskiej) i tam zawsze się znajdował, gdzie była prześladowana wolność sumienia. Umarł po powrocie z niefortunnej podróży do Ameryki Południowej. Pochowany został bez księdza, na grobie jego nie ma nawet tablicy.

Ateści i wolnomyśliciele lubelscy

którzy dziś w Polsce Ludowej spokojnie i bezpiecznie prowadzą swą działalność, mogliby odszukać ten grób bez krzyża i złożyć czasem na nim symboliczny kwiatek. Ten, co tam leży, chyba zasłużył na to.

## Wydawcy

Dom Wydawniczy Fr. Głowiński i Ska — to całkowi przeciwieństwo wydawnictwa A. Zbikowskiego. Tu solidne, dobrze przemyślane i prawidłowo prowadzone przedsiębiorstwo — tam typowa partyzantka. Tu fachowe kierownictwo — tam dyktant. Rzetelne podstawy materialne — finansowa mgławica.

Głowiński był dziennikarzem wytrawnym, miał za sobą poważny staż. Ostatnio pracował w redakcji „Ziemi Lubelskiej”, prowadzonej przez Daniela Sliwickiego, człowieka mądrego, który dobrze się zapisał wśród postępowych dziennikarzy polskich. W tym czasie gdy poznałem Głowińskiego, był on już wyzwolony i pracował przy własnym warsztacie. Związał się z warszawskim koncernem tzw. „Czerwona Prasa” i wydawał dziennik „Ekspres Lubelski” o charakterze początkowo wyłącznie informacyjnym i nie związany z żadnym stronnictwem politycznym. Pismo to szło bardzo dobrze i miało licznych czytelników i przyjaciół. Jedni go poszukiwali z powodu żywej treści i sensacyjnych tytułów, inni cenili za rzetelny i odważny stosunek do szeregu problemów. Redaktorem „Ekspresu” był Wacław Gralewski, stąd też nasze przyjacielskie powiązania z dziennikiem i stąd znajomość moja, z czasem bardzo serdeczna, z Głowińskim. W domu przy ulicy Kościuszki 8 mieściła się na drugim piętrze redakcja — dwa małe pokoiki — a na parterze administracja, no i własna drukarnia. Wszystko to wyglądało solidnie i budziło zaufanie. Sam dyrektor był nie tylko świetnym fachowcem, pomysłowym i pełnym inwencji, ale również, mimo pozorów,

sumiennym i skrupulatnym człowiekiem. Piszę, mimo pozorów, gdyż powszechnie znana była jego słabość do kielicha w wesołej i inteligentnej kompanii. Jednak w żadnym stopniu nie odbijało się to na jego pracy zawodowej.

Niejednokrotnie spędziłem wieczór, ba, nawet niejedną noc, w jego towarzystwie i mogłem obserwować jego zwyczaj. Gdy po wstępnej batalii zanosilo się na większe szaleństwo, Głowiński około północy obowiązkowo musiał zająć do redakcji i drukarni, by sprawdzić, czy wszystko gra należycie. Jeśli tak — oddawał się zabawie całą duszą, z wielkim temperamentem, jeśli natomiast zauważył jakieś braki, trzeźwiał momentalnie, zostawał na miejscu, przystępował do pracy i żadna siła ludzka nie mogła go od niej już oderwać. Zawsze wiedział co robi, nawet rachunku w knajpie nie płacił na miejscu, lecz kazał go sobie przysyłać nazajutrz do zapłaty. W gruncie rzeczy holdował tym cnotom mieszczańskim dziewnostawiecznym, a los kazał mu przez pewien czas współżyć z bohemą artystyczną, skąd wynikały różne dość zabawne sytuacje. Był dowcipny i miał duże poczucie humoru, lecz do kpiącego i lekceważącego więksość uznanych świętości i autorytetu stosunku naszej reflektorowej kompanii — nie mógł się przyzwyczaić. A tak się złożyło, że przez dłuższy okres czasu w jego redakcji była jednocześnie redakcja „Reflektora” — no i bez mała lokal klubowy naszej partii.

Dom Wydawniczy Franciszka Głowińskiego miał więc solidne podstawy. Nie zaglądałem do rejestrów handlowych, lecz przypuszczam, że współnikiem jego była pani Irena Sliwicka, wdowa po Danielu, z którą się później ożenił. Wydawał na początku rzeczy poszukiwane i gwarantujące pewien dochód. Podobnie jak Zbikowski, zainteresował się również publikacjami tekstów ustaw, wraz z popularnym komentarzem. A więc: „Ustawa o kasach chorych” — „Ustawa o ubezpieczeniu od bezrobocia” — „Ustawa o pracy kobiet i dzieci w przemyśle” i tak dalej, a oprócz tego „Księga adresowa przemysłu

BEATA BATUK

## Ballada prowincjonalna

Panny wytworne  
w swój cierpki smak  
w żółte końce palców  
w nudę

niebo źle podsmarowane  
błękitem  
odpryskuje jak emalia  
od czajnika

faceci uśmiechnięci  
na kretyna  
piją piwo  
trzeci kufel  
„POLONIA” nieczynne  
„WISŁA” nieczynne  
„STOLICA” remont

z nieba już całkiem  
pozłaziła farba  
a faceci są wąscy  
w biodrach  
„POLONIA” nieczynne  
„WISŁA” nieczynne  
„STOLICA” remont

za miastem jest szosa  
maki pachną  
słodko mdławo  
po polach nie wleczą się  
kompleksy

MARIAN BARAN

## Dudek

Dudek  
patrzył na strofy dnia  
jak sroka w kość  
I tylko te słowa  
„a ja ciebie nie oddam nikomu”  
I oddała się nagiemu słońcu  
choć o pocałunek prosił wiatr  
choć głos katarzyniarskich skrzypiec  
kwilił serenadę nagięgo w pokrzywach  
Panowie  
marmolada zjedzona  
została sól  
I pogalopował śmieszny dudek  
by dogonić  
„a ja ciebie nie oddam nikomu”  
Aż rozbrykany żrebiec połamał nogi  
Dziś kiedy jest sam  
czasem cicho zanuci  
„a ja ciebie nie oddam nikomu”  
Śmieszny dudek szarego dnia.

Jędrzejów

cisza  
aż się ręk nie chce  
wyjąć z kieszeni

„POLONIA” nieczynne  
„WISŁA” nieczynne  
„STOLICA” remont.  
a poetom  
się welaż wydaje  
że zaczarowali księżyc  
„POLONIA” nieczynne  
„WISŁA” nieczynne  
„STOLICA” remont.

Ostrowiec

ADA KOPCIŃSKA

## Powtarzam liczenie

Nieraz jeszcze powtarzam liczenie  
kukły noce wygięte w ostrości  
rozceplają blask niedotykania  
Noe  
choć skryta w kapturze dorożki  
rozświetlona jest jak zimnym ogniem  
spojrzeniami przy żółtych obręczach  
tam gdzie stanie klacz — partnerka  
schadzki chce doliczyć szczęśliwej  
i wyśnić twarz  
będzie ponoć małżonkiem bólu  
będzie dzielił ze mną swoje twarze  
i najgorsze  
że może czasami odejść leżąc twarzą  
nieznajomej  
która nie jest moją ani jego.

Ostrowiec

RYSZARD MIERNIK

## Baby świętokrzyskie rzeźbione

Z lipy  
Drzewa kobiecego  
Wyjmuję wasze twarze  
W przeciwieństwie do ludzkich  
Nie kłamią  
Ustawiam na słupkach  
Wyobraźni  
Fairę  
Kosze zmartwień niesiecie  
Od Nidy po Wisłę  
Przez świętokrzyskie  
Jodłą śmigacie

HENRYK JACHIMOWSKI

## jestem człowiek

oczywiście można uważać mnie  
[za potomka małp  
to nie zmienia istoty rzeczy  
jestem człowiek mam  
głowę tułów tak  
wspaniale części do odczuwania  
[sposobów  
wzbogacania i zachowania  
[mojego gatunku  
w zestawieniu z podrzędną  
[grupą ssaków  
wypadam niezłe  
ale klasyfikując  
z punktu widzenia biologicznego  
[tego grubasa  
tego upaszonego wleprza  
czuję do siebie wstręt

Roznica

KONSTANTY TARNOWSKI

## G d y

Gdy Mikołaj  
podpisywał ze światem  
[układ heliocentryczny  
płonące stosy rozdzierały mroki  
ziemia ruszyła.  
Gdy Maria  
obdarowała ludzkość wiązkami  
[promieni  
mózgi i serca zakwitły jutrem  
ziemia tańczyła.  
Gdy Albert  
otworzył na oścież wrota  
[kluczem  $E=mc^2$   
wisł nad światem straszny  
ziemia drży.  
Starachowice

RYSZARD FATYGA

## Cyganka

Polóż na kartę pięć złotych.  
[Co cię czeka  
cyganka powie. Rozumiesz pan,  
[no polóż pan.  
Masz zielone oczka cyganie  
dobre serce i miękkie  
palcami je można  
ulepić w jaskółkę  
rozumiesz pan  
papiery urzędowe ukończysz  
[zadowolony i kontenty.  
Raptus ty i narwanie  
i gotów kwiaty zdeptać  
i palcami ślepych macać ich zapachu  
a pieniądze mieć będziesz jak ludzi  
odpustowych  
a szczęścia nie  
dziewczynę co ją w zanadrzu  
trzymasz  
obejdiesz jak karuzele.  
Nie wierz pan i nie dziękuj a jak  
się sprawdzi zrozumiesz.

ANDRZEJ ZATORSKI

## Geometria samotności

Jestem punktem  
na płaszczyźnie czasu.  
Trójkątem bez żadnej  
cechy przystawiania.  
Jestem cieniem półkuli  
przygnieciony wypukłością  
ciszy.  
Przechodzę po cięciwach  
nad przepaścią  
prostokątnością.  
Słyszczą wyczuwam  
krawędź wielokąta.  
Jestem punktem  
tępa nóżką cyrki  
przykuły do życia  
bez żadnej prostej.

Starachowice

RYSZARD PODLEWSKI

## Myśli

Obejrzawszy Muzeum zegarów słonecznych — zaczyna człowiek nabierać szacunku do swego cienia.

To genialny aktor! U niego nawet wstyd jest fałszywy.

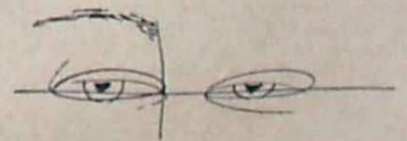
Są ludzie, z którymi nie można rozmawiać „w cztery oczy”. Zawsze starają się jedno przymykać. Bezpieczniej.

Bardzo często niepo czytany autor jest niezwykle poczytny.

Najgorszą stroną sławy wielkich ludzi jest fakt, że wolno na ich temat rozprawiać byle idiolecie.

Nie na wszystkich myślach oplaca się zostawiać odciski swoich palców!

Kielce



### Ze scen wojewódzkich

## Pustka rodzi zbrodnię

EDMUND GAJEWSKI

DZIEŃ podobny do dnia — małe miasteczko. Puste, wąskie uliczki, wykoślawiony bruk, knajpka ożywiona gwarem — wszak to niedziela!

W takich miasteczkach jakże często decydują fałszywe pozory, a drobne urazy urastają do rangi problemu. Gdzieś na dnie ludzkich myśli buszują się chorobliwe podniecenie — obsesja.

Dodajmy, że jest to schłodzone miasteczko w Niemczech zachodnich. W tym bogobojnym „grajdole” ludzie z niejednego pieca chleb jedli, w imię miłości bliźniego wiele sobie wybaczyli, niejedno chcieli zapomnieć. Gdy zawita tu przypadkowy turysta, oczywiście całe miasteczko żyje tym wydarzeniem — sensacją.

Oto klimat, na tle którego rozwija się akcja sztuki Jerzego Broszkiewicza „Skandal w Hellbergu”, która wywołała w Rzeszowie wiele ożywionych dyskusji. I nic dziwnego, akcja sztuki rozwija się niczym w pasjonującym „kryminale”. W „porządnym” niemieckim miasteczku giną od pewnego czasu nieletnie dziewczęta... Widz, śledząc akcję sztuki, nieprzypadkowo doszukuje się w niej pewnych skojarzeń ze znaną powieścią i filmem pt. „Obietnica” Dürrenmatta. Temat jest rzeczywiście kryminalny, powiązany wątkami erotycznymi, ale autor na tym nie poprze-

staje, wymownie rysując obyczajowość powojennego środowiska mieszczańskiego w Niemczech zachodnich, demaskatorsko ukazując mechanizm zbrodni, którą rodzi pustka ideowa — ten „mechanizm”, który zaprowadził Niemców do zbrodni hitlerizmu.

Znudzony mieszczech „tęskni” do mocnych wrażeń, jego obsesyjne podniecenie znajduje ujście w akcie zbiorowej hysterii, którą wieńczy samosąd. Dlatego turysta, który znalazł się w „porządnym” miasteczku musi zginąć.

Ci, którzy głoszą w imię ratowania godności „podeptanej” ojczyzny: „My mamy własne prawo do zabijania”, trafil na podatny grunt — mieszczech się budzi...

DRAMAT Broszkiewicza posiada żywe i błyskotliwe dialogi, dynamiczną akcję oraz kapitalnie zbudowaną postać głuchego majora. Warto poświęcić jej chwilę uwagi.

Major Trausen — bohater dnia wczorajszego, jest biernym obserwatorem akcji, ale jego trzeźwe komentarze, wygłaszane po pijanemu, są kluczem do tajemnicy uogólniającej sztukę. To on właśnie sztydzi z mieszczechów, demaskuje ich mentalność, a równocześnie usiłuje skierować ją na drogę „odwetu”: „Wylażcie spod pierzyn Niemcy...”

A jesienią  
Lysiejecie z lipami  
Oddając kosze i trud  
Artystom.

Gdy ze mnie  
Zrobią gwóźdź  
Chciałbym być  
Wbiła go w obcas  
Osiadał będę  
Na strudzonych ostach  
I z nimi wędrował  
Na twój stół.

Kielce

BOGDAN PASTERNAK

## Próba odejścia w sen

Drzwi mówiły  
tam że Ciebie nie ma  
z drugiej strony  
Okna świeciły czarnymi szybami  
A Ty  
pewnie za drzwiami  
już miałaś zapomnienie rzeczy  
Nie mogę odejść od siebie  
bo jesteś tu blisko  
chociaż Cię nie ma  
w dotyku rąk  
długich jak struny

Starachowice

Reżyser „Skandalu” w Państwowym Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie — Ireneusz Erwan, który gra również mjr Trausena, przygotował przedstawienie interesujące o słusznym na ogół wydzwieku społecznym, ale nie całkiem klarowne. Postaram się uzasadnić ten zarzut.

Oglądając inscenizację rzeszowską można odnieść wrażenie, że główną postacią sztuki jest bankrut polityczny, mjr Trausen. Bez wątpienia autor uczynił tę postać najatrakcyjniejszą.

To Trausen demaskuje światopogląd mieszczechów i poprzez swoje komentarze pobudza ich do działania, ale głównymi bohaterami sztuki — są bohaterzy dnia dzisiejszego, zakompleksiony tchórzliwy żigolak — bardzo dobra kreacja Wincentego Zawirskiego, który wymownie ukazuje jak obsesyjne urazy w odpowiednich sytuacjach przeobrażają „małych” ludzi — w wilkołaków!

I to uogólnienie należało rozwinąć.

(Dokończenie na str. 16)

# SZESNASTO LAT OPIEKI NAD ZABYTKAMI

**Z**ABYTKI architektury murywanej i budownictwa drewnianego w latach ostatniej wojny poniosły dotkliwe straty. Około 80% zabytków uległo poważnym uszkodzeniom i zniszczeniom. W roku 1945 powołana została służba konserwatorska. Podjęta praca ratowania zabytków w okresie powojennym, utrudniała duży stopień wyniszczenia kraju, niedobór materiałów budowlanych i trudności z wykonawstwem robót budowlano-konserwatorskich.

Na obszarze województwa białostockiego zachowały się relikty prawie wszystkich stylów występujących w kraju, a wartość ich daje świadectwo dorobku kulturalnego naszego terenu.

Do naszych czasów dotrwało według ostatnio przeprowadzonej ewidencji 745 obiektów architektonicznych, 38 zabytkowych miast, osiedli i osad, gdzie zachowały się dawne założenia urbanistyczne gotyckie, renesansowe i barokowe. Te bogactwa w postaci zabytków architektury, zieleni, ogrodów, parków, budownictwa ludowego i obiektów archeologicznych zwróciły ostatnio uwagę świata naukowego. Wzrasta ona stale, bo relikty te stanowią klucz do poznania kultury terenu. Jednym z przykładów może być obronna cerkiew z XVI wieku wzniesiona w stylu gotycko-bizantyjskim w Supraślu w wyniku starcia dwóch wielkich kultur: wschodu i zachodu, (barbarzyńsko zniszczona przez okupanta w okresie ostatniej wojny).

Style dawnej architektury pochodzące z różnych epok historycznych reprezentują rozlane w terenie ruiny zamków, pałace, ratusze, dwory, budownictwo sakralne oraz budownictwo drewniane występujące w postaci lamusów, wiatraków i młynów wodnych, a także chałup wiejskich, w 3 regionach: kurpiowskim, mazurskim i podlaskim. W związku z przebudową

## WŁADYSŁAW PASZKOWSKI

wsł, jak też z powodu ziego stanu technicznego, szybko ulegają one przebudowie.

Dorobek służby konserwatorskiej w okresie lat szesnastu można należycie ocenić biorąc pod uwagę fakt, że do użytkowania (dla celów kulturalnych i społecznych) — przekazano 33 obiekty zabytkowej architektury o łącznej kubaturze 191.000 m<sup>3</sup>. Dalo to 753 pomieszczenia użytkowe, w tym 18 sal wystawowych, 53 izby czytelni i świetlic, 75 pomieszczeń biurowych, 160 izb szkolnych i 154 mieszkalne.

Podjęte w 1961 r. z inicjatywy służby konserwatorskiej badania na zamku pod Tykocinem z okresu XV—XVIII w., prowadzone przez Zakład Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej są dla nauki polskiej ważnym wydarzeniem. Zostały odsłonięte, ukryte pod warstwą gruzu, resztki murów dawnej twierdzy królewskiej, nawiązujące do najwspanialszych założeń obronnych tego okresu. Odsłonięte częściowo mury pomogły nauce w rekonstrukcji pierwotnego układu przestrzennego i w poznaniu chronologii rozwoju zamku. Prowadzone jednocześnie prace archeologiczne doprowadziły do odkrycia drewnianoziemnych umocnień z palisadą. Są to fragmenty dawnego grodu nadnarwiańskiego. Podczas prowadzonych badań znaleziono cenne i ciekawe ekspozyty z okresu lokacji grodu, a później zamku. Znaleziska te stanowią bogaty i cenny materiał do opracowań naukowych, które umożliwią poznanie historii zamku z jego bardzo ciekawą przeszłością jako twierdzy obronnej w Tykocinie.

## CZWÓRPOROZUMIENIE NASZYCH MUZEÓW

(Dokończenie ze str. 2)

ległych wydziałom kultury prezydentów PRN, a mianowicie w Jarosławiu, Krośnie, Przemyslu, Sanoku i Żarnowcu. To ostatnie należy do powiatu Krosno i ma charakter muzeum biograficznego w dawnym dworcu Marii Konopnickiej. Obok tamtych jest w naszym województwie jeszcze dziesięć muzeów społecznych, niektóre z nich zorganizowane przez PTTK, inne zaś przez lokalne stowarzyszenia kulturalne, względnie kółka miłośników danej miejscowości. Z tych muzeów wyróżniają się jako dobrze utrzymane muzea w Bieczu, Gorlicach, Kolbuszowej, Lubaczowie; dalsze: w Debicy, Jaśle, Leżajsku, Ropczycach, Lesku i Strzyżowie znajdują się dopiero w stadium organizacji.

W świetle ostatnio uchwalonej przez Sejm PRL ustawy z dnia 15 lutego 1962 r. „o ochronie dóbr kultury i o muzeach”, muzea mają bardzo szerokie zadania do wykonania: 1) gromadzą dobra kultury i materiały dokumentacyjne, 2) inwentaryzują, katalogują i naukowo opracowują zgromadzone muzealia i materiały dokumentacyjne, 3) przechowują zgromadzone muzealia w warunkach zapewniających im pełne bezpieczeństwo i magazynują je w sposób dostępny dla celów naukowych, 4) zabezpieczają i konserwują muzealia i w miarę możliwości zabezpieczają stanowiska archeologiczne, 5) organizują i prowadzą badania, ekspedycje naukowe oraz prace wykopaliskowe, 6) organizują wystawy stałe, czasowe i objazdowe, 7) prowadzą działalność oświatową, 8) udostępniają zbiory dla celów naukowych i oświatowych, 9) publikują inwentarze, katalogi i przewodniki wystaw, wyniki badań, wykopalisk i ekspedycji oraz wydawnictwa popularno - naukowe i informacje z zakresu swojej pracy.

Muzea okręgowe są w zasadzie muzeami wielodziałowymi i swą działalnością obejmują kilka dziedzin naukowo-penetracji i kolekcjonowania muzealiów, w szczególności z zakresu sztuki, historii, archeologii, etnografii, ponadto współczesnych ruchów społeczno-wyzwoleńczych, jak też osiąga-

nieć Polski Ludowej. Wskutek tego muzea te są placówkami rozbudowanymi, a działalność ich idzie w kierunku naukowo-badawczym, kulturalno-oświatowym, usługowym oraz doradczym dla podległych im placówek muzealnych w terenie. Zespół pracowników działalności podstawowej w związku z tymi wszechstronnymi zadaniami powinien być dostatecznie liczy-

Tak patrząc na działalność muzeów okręgowych, zwłaszcza w naszych czterech województwach, które współpracują z sobą, należy zdać sobie sprawę z tego, że spełniają one na terenie swego miasta i województwa bardzo ważną rolę placówek o charakterze naukowo - badawczym. W takich miastach, jak Rzeszów, Kielce i Białystok, gdzie brak jest wyższej uczelni o charakterze humanistycznym, muzea okręgowe są instytucjami, które w bardzo poważnym stopniu wypełniają ten brak. W takiej sytuacji są one najbardziej zaawansowanymi placówkami dla pracy naukowo-badawczej. Posiadają bowiem własne zbiory z wyżej wymienionych dziedzin nauki, pracownię dokumentacji, a do tego dysponują kadrą pracowników przygotowanych do wykonania tych zadań. Pracownicy ci prowadzą badania w terenie, opracowują różne dotychczas nie przebadane muzealia, piszą na ten temat artykuły i sprawozdania oraz wygłaszają odczyty. Z tych też powodów jest jak najbardziej wskazane, by nasze województwa wystąpiły do władz centralnych z odpowiednim wnioskiem o przyznanie uprawnień instytutów naukowo - badawczych muzeom okręgowym na tym terenie. Wyżej wymieniona ustawa przewiduje możliwość ubiegania się o takie uprawnienia dla muzeów, które — jak nasze muzea okręgowe — prowadzą działalność naukowo-badawczą i posiadają do tego rodzaju pracy odpowiednio zorganizowane warunki.

W działalności muzeów okręgowych na szczególną uwagę zasługuje dział naukowo-oświatowy, który obok działów specjalistycznych, jak archeologiczny, etnograficzny, historii i sztuki, ma do wykonania bardzo poważne zadania o charakterze usługowym i popularyzatorskim. Do jego zakresu działania należą takie sprawy, jak organizowanie wystaw czasowych i objazdowych, odczytów, wyświetlanie filmów, organizowanie wycieczek do muzeum, oprowadzanie po ekspozycji, kontakty z zakładami pracy i szkołami oraz z

przegrozi o nielubym zadaniu dyrektora Teatru im. Węgierki („Kamena” Nr 19) w pozyskaniu nowego widza teatralnego, i tego, który chodził, ale przestał, obawy moje były zupełnie uzasadnione. Nie wynikały one bynajmniej z braku zaufania do poczynań repertuarowych czy inscenizatorskich dyrektora Zegalskiego, miarą na uwadze to, że Białystok, pozbawiony głębszych tradycji kulturalnych, uważa się powszechnie za tzw. miasto nieteatralne. Bo nawet — powiadają sceptycy — tak gdzie indziej rozpowszechniony snobizm uczestniczenia w galówkach premierowych jest w Białymstoku ograniczony do bardzo szczupłego grona „śmietanki intelektualnej”.

Charakterystyczne są m. in. wyraźne tu ciągotki ku operetce. Kilkakrotnie już rozmaite czynniki domagały się utworzenia takowej w gmachu Związków Zawodowych, a ostatnio podobno resort przemysłu ciężkiego lokalizując w Białymstoku zakłady przemysłowe domaga się od władz miejskich otwarcia teatru muzycznego. Wystarczy zresztą popatrzeć na kolejki tworzące się przed kasami, z chwilą gdy ma przyjechać na gościnne występy Operetka Lubelska. Nie zamierzam deprecjonować roli podkaszanej muzyki jako godziwej rozrywki szerokiego rzesz, ale wymowa tych zainteresowań jest doświadczeniowa i świadczy jakoś o trudnościach związanych z walką o nowego widza dla teatru dramatycznego.

By stawić czoło tym trudnościom, nowa dyrekcja realizuje repertuar z przewagą klasyki i utworów łatwiejszych przy umiarkowanej dawce współczesności i bardziej ambitnych pozycji. Dla orygińalności sztuki tegoroczne (dwa sal: dużej i kameralnej): Lermontow — „Maskarada” (reżyseria R. Czechak), Ibsen — „Dom Lalki” (reż. T. Byrski), Lorca — „Krwawe gody” (reż. J. Zegalski), Zablocki — „Fircyk z zalotach” (reż. J. Czerniawski, J. Zegalski), Mrozek — „Strip-tease i inne” (reż. K. Miessner), „Farsa o mistrzu Piotrze Patelinie” (reż. K. Miessner), Nienacki „Termitiera” (reż. B. Czechak).

Zestawienie symptomatyczne.

**P**ARE słów o dwóch ostatnich premierach jako najświeższych: o „Farsie”, wystawionej w kwietniu i „Termitierze” — w maju. Pełna finezji i czaru „Farsa o mistrzu Piotrze Patelinie” wystawiona została, jak się rzekło, w reżyserii Krystyny Miessner. Tekst sztuki w przekładzie Adama Polewki przepięknie intermedia oparte na tekstach staropolskich, a całość okraszona została muzyką starofrancuską. Scenografię opracował Ryszard Kuzyszyn.

Bardzo dobrze się stało, że teatr wystawił te sztuki. Dzięki doskonałemu podawaniu tekstu przez aktorów, świetnej dekoracji i kostiumom, po kilku minutach zapominamy o istnieniu atomów i odrzutów, bawimy się wszyscy bez względu na wiek i wykształcenie. Wiadomo, średniowie-

prasa i radiem. Wszystko to wymaga koncentracji sił pracowników muzeum, planowego działania i ekonomii czasu. Można właściwie powiedzieć, że w muzeach okręgowych zespółiły się obecnie różne formy pracy naukowo-badawczej i kulturalno - oświatowej, które wprawdzie w większym zakresie, ale raczej jednokierunkowo realizują inne placówki. Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, prócz działalności wystawieniowej, odczytowej itp. posiada także bibliotekę i czytelnię, a wśród innych jeszcze spraw, którymi się zajmuje, można wymienić konsultacje na przykład z teatrem na temat kostiumologii czy scenografii. Muzea służą również poradą różnym kolekcjonerom, jednym słowem utrzymują żywy kontakt na co dzień ze społeczeństwem, są bardzo atrakcyjnymi placówkami, chętnie i licznie odwiedzanymi zarówno przez młodzież, jak i ludzi starszych. Należy obsługa zwiedzających i czynne współdziałanie z różnymi grupami społecznymi mają więc zasadnicze znaczenie ze względu na wychowawczy i oświatowy.

Inna sprawa, tak dziś ważna dla rozwoju muzealnictwa w Polsce, to stały kontakt i współdziałanie wszystkich muzeów istniejących na terenie danego województwa pod kierunkiem muzeum okręgowego. Nie można sobie dziś wyobrazić, aby pracownicy muzeum okręgowego nie wyjeżdżali w teren do poszczególnych placówek muzealnych i nie udzielali im porad, nie kontrolowali stanu i warunków pracy tak w muzeach państwowych, jak i społecznych. Nie można sobie wyobrazić, aby pracownicy muzeów z terenu

Ze scen wojewódzkich

## REPERTUAR PATELIN I TERMITY

ALEKSANDER  
GABRUSIEWICZ

cze ukazane jest tu przez same negatywy, ale to już przywilej farsy, by nie wdawać się w wartościowanie moralne. Sugestie reżysera — blazonady, zgrzywy w konwencji dell'arte przyjmujemy bez zastrzeżeń. Duża w tym załuga całego zespołu aktorskiego — czele z dwoma prowadzącymi sztuką kupcem — Nawrockim i Patelinem — Machalicą.

O majowej premierze Teatru Węgierki nie można mówić tak entuzjastycznie. „Termitiera” Zbigniewa Nienackiego, sztukę nagrodzoną na ubiegłorocznym konkursie krakowskim, wyreżyserowaną przez Bogdana Czechaka, wystawiono z muzyką Mateusza Świącickiego i scenografią Teresy Ponińskiej.

Termity atakujące podstępnie miasto stanowią dla autora pretekst do ukazania mechanizmu władzy — jest więc to sztuka aluzyjna, w której trudno się dopatrzeć pewnych analogii do „Nosorożca” Ionesco, nie o to jednak chodzi.

Można by fabułę tej rzeczy potraktować komediowo i przez satyrę z kluczem pokazać ludzkie charaktery, stęchłą miasteczka Chatoux, mechanikę rządów wreszcie. Można też to wszystko pokazać przez pryzmat dramatu bohatera — dziennikarza Gabrinoux, policjanta Beaucoup i innych. Ale koncepcja reżysera białostockiego przedstawienia jest mało czytelna. Gdzieś w połowie sztuki ulega wyrażeniu załamaniu. Do połowy spektaklu uczestniczymy w „Skandalu w Cloche Merle”, z pisuarkiem, burdelikiem, „kłoszmerłowskim” merem i policjantami, by w pewnej chwili niepostrzeżenie przeskoczyć w atmosferę Kordiana „na współczesność”. Wszystko kończy się małym monologiem... i ordynarnym mordem politycznym.

Całość ratują zgrabne, mimo niewątpliwych, dłużyzn, dialogi, dość zabawne w pierwszej części gierki i doskonała, świetnie ilustrująca przebieg akcji oprawa muzyczna. Dobrą scenografię psuje nieco niefortunne umundurowanie „nowych” policjantów (mundury amerykańskiej Military Police?). Postacie są jak gdyby z dwóch różnych wersji, trudno więc o jakąkolwiek ocenę gry aktorów...

Zbliżył się festiwal w Toruniu. Z czym teatr białostocki wyjedzie na IV FTTP — oficjalnie jeszcze nie wiadomo. Zyczyć mu jednak wypada, by tradycji z lat ubiegłych nie stało się zażość. Dotychczasowa pozycja w ogólnie teatralnym Polskiej Północnej nie jest zachwycająca.

nie przyjeżdżali od czasu do czasu do muzeum okręgowego na szkolenie i inne narady w sprawach organizacyjnych. Tego rodzaju praca nadzorczą doradczą, którą powinny wykonywać muzea okręgowe, wymaga doświadczenia, czasu, doboru odpowiednio przygotowanych do tych zadań pracowników.

A oto jeszcze jedna bardzo ważna sprawa do rozważenia, a mianowicie sprawa należytego zabezpieczenia zbiorów. Musi ona być jak najbardziej poważnie potraktowana przez wszystkie zainteresowane czynniki w naszym kraju, ponieważ w muzeach zgromadzone jest znaczny majątek narodowy. Trzeba więc dołożyć starań, aby ekspozycja i magazyny były wyposażone w odpowiedni sprzęt, należyte uprządkowane i strzeżone. Tu nie można stosować połowicznych środków ze względu na oszczędność, ponieważ różne niedopatrzności powodują bardzo przykre następstwa. Dostateczna ilość obsługi nadzorującej, odpowiednio zabezpieczenia okien i wejść, właściwe urządzenia przeciwpożarowe i alarmowe są niezbędne i nad tym nie można przejść do porządku, nie korzystając z pomocy i współpracy ze służbą bezpieczeństwa i straży pożarnej.

Te wyżej wymienione zagadnienia, które są przedmiotem rozważań i realizacji w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, powinny — moim zdaniem — stać się obok spraw związanych z merytoryczną działalnością jednym z tematów dyskusji i współpracy naszych czterech województw.

Franciszek Błoński

w której obok cech pozytywnych znajdują się jednak momenty budzące pewne wątpliwości.

Zastrzeżenie pierwsze.

Jak wiadomo, IX Ogólnopolski Konkurs Recytatorski słusznie został skorelowany z ogólnopolską manifestacją uczuć związanych z XX rocznicą powstania Polskiej Partii Robotniczej i, jak głosi jego regulamin, „zmięszal do jak głosi naszej więzi z narodami i poglądami walczącymi o pokój i socjalizm”. W związku z tym od osoby przystępującej do konkursu wymagają poza dwiema pozycjami z poezji no poza dwiema pozycjami z poezji i prozy artystycznej — trzeciej z zakresu literatury społeczno-politycznej. Oraz Poradnia Lubelskiego Domu Kultury rozesała dobry wybór tekstów publicystycznych, zawierający m. in. kilka odczo do doniosłym znaczeniem historycznym, mających duży ładunek emocjonalny. Niestety jednak w pomniejszych wypadkach wykonanie nie nadawało tekstom właściwego wyrazu. Działo się to oczywiście wówczas, gdy recytator otrzymywał tekst nie na miarę swoich możliwości. Innym niezamierzonym efektem była nadmierna popularyzacja wśród uczestników — tej samej pozycji. Tak się rzecz miała np. z fragmentem „Historii jednego życia” Hirszfelda, który to fragment, wartościowy ideowo i przejmujący, powiedziany aż 13 razy zamienił się w drwinianą piłę. Sporo drętwych mowy słyszało się też wtedy, kiedy tekst był owocem poszukiwań samego recytatora lub jego opiekuna. Wynikło to z wadliwej interpretacji założenia regulaminu. A więc ponowczano się tasiewiczowych fragmentów podrzędniejszych artykułów z prasy codziennej, co prowadziło nieraz do pospolitego odfajkowania ważnego tematu. Niejednokrotnie występowała na turnieju publicystyka dość mierna pod względem formy, tymczasem znaczenia dobrej formy dla popularyzacji słusznej idei od dawna już nie trzeba udowadniać. Jesteśmy dziś świadkami niebywałego rozkwitu publicystyki literackiej, łatwo w niej wybierać i przebieierać, sądzę, że niektórym opiekunom recytatorów po prostu zabrakło inicjatywy albo czasu.

Inna sprawa.

W tym roku przewaga autorów polskich nad obcymi była jeszcze większa niż w roku ubiegłym. Jeżeli wówczas udział literatury obcej wyrażał się stosunkiem 18% do 82, to obecnie mamy w przybliżeniu 10% do 90. Oczywiście duża przewaga literatury ojczystej jest rzeczą naturalną i wręcz konieczną, jednakże wydaje mi się, iż nastąpiło tu pewne przegięcie pałki. W r. 1961 recytowano przed nami Sofoklesa, ballady starofrancuskie, Goethego, Puszkina, Gorkiego, Majakowskiego, Maksyma Rylskiego, Edgara Poe, Irwinga Stone'a, Hemingwaya, Wildera, Steinbecka, Saint-Exupéry, Vercorsa, Eluarda i in., obecnie wachlarz był znacznie mniej szeroki. A przecież wielkie skarby literatury światowej są jak najbardziej udostępnione czytelnikom polskim, bo dzisiaj dużo się tłumaczy i dobrze tłumaczy. Nawiasem mówiąc, żaden bodaj recytator mówiący utwór obcego pisarza nie podał na turnieju nazwiska tłumacza, co bezspornie należy zaliczyć do niezupełnie drobnych zaniedbań.

Skoro jesteśmy przy sprawie porocpcy, wymienię nazwiska znakomych i wybitniejszych pisarzy polskich, których utwory słyszeliśmy na turnieju najczęściej. Byli to: Władysław Broniewski — ponad 30 razy, Tuwim (21 razy), Szenwald (10), Gaićzyński (7 razy — mniej niż w zeszłym roku), Staff (6), Woroszyński (też 6 razy), Baczyński (5). Inni poeci recytowani na turnieju uzyskali liczby 3, 2, 1.

Obrzymią przewagę Władysława Broniewskiego nad innymi również świetnymi poetami spowodował mocny akcent społeczny i polityczny w jego dziele poetyckim, a częściowo — niedawna śmierć poety. Tuwim? Tuwim jest zawsze popularny, treści jego są dzisiejsze, przemawiają do serca Polaka, forma wdzięczna i komunikatywna. Staff trafia do serc głębokim humanizmem, Szenwald i Baczyński oskarżeniem okupanta. Szczególną doraźną wartość Woroszyńskiego przypisują potrzebę uzupełnienia niedoborów w publicystyce społeczno — politycznej. Tym się też tłumaczy kilkakrotne wykorzystanie „Książ narodu i pielgrzymstwa polskiego”, podczas gdy Mickiewicz — poeta na turnieju nie istniał. Niewiele więcej poszczęściło się Słowackiemu, który doszedł do głosu za ledwie trzy razy. Poetów przedmickiewiczowskich ani śladu.

I tu zarysowuje się pewien problem. Oby nasze województwo nie okazało się w tym względzie typowym, bo u nas daje się zaobserwować wyraźne

odejście od klasyki najstarszej i dziełnastawowej, a zbyt nikię nawiązują się kontakty z literaturą młodszą, podczas gdy jednym z zasadniczych założeń konkursu była popularyzacja aktualnych najcenniejszych pozycji wydawniczych. Ten postulat tylko znikomo został uwzględniony zarówno w prozie, jak w poezji. Dość powiedzieć, że w tym roku prawie zupełnie nie wykorzystano wierszy Różewicza i nikt nie sięgnął choć-

torckiego Ruchu Artystycznego są nieco jednostronne, czy też bezkrytyczne korzystanie z nich powoduje niekiedy nieporozumienia. Przykład — nienajlepszy wiersz Szenwalda „Korporant”, który będąc recytowany w montażu nostyckim spełnia jakieś zadanie, oderwany zaś od towarzyszących mu odpowiednich tekstów wręcz trąci myszka.

Chodziłoby, sądzę, w ogóle, jak w wielu dziedzinach naszego życia, o

# PISARZE NA TURNIEJU

by do Grochowiaka. Czyżby 16- i 17-latkowie nie miały wspólnego języka z młodszymi poetami, którzy się podobają średniemu pokoleniu i wielu z nas starych? Toteż szczęśliwym momentem była proza poetycka Stachury, który zdobywał niedawno ostrogi w „Kamieniu”. Najwięcej recytowano poetów 20-lecia międzywojennego lub tych współczesnych, którzy debiutowali w 20-leciu. Zgoda, że powiedziano sporo znakomych utworów, ale tak zdecydowany prymat 20-lecia międzywojennego nie jest chyba na naszych turniejach pożądany, skoro realizuje się ze szkoda starszej klasyki i literatury najnowszej.

W prozie artystycznej palma pierwszeństwa przypadła w udziale Żeromskiemu. Dobrą lokatę uzyskał Andrzejewski („Popiół i diament”), poza tym — „Niebieskie kartki” Adolfa Rudnickiego. Kilku zawodników dochowało wierności Sienkiewiczowi. Jeszcze niektórzy wybitni prozaicy zdobyli 2-3 recytatorów, lecz iluż sławnych pisarzy, których dzieła recytowano na turnieju zeszłorocznym, obecnie odpadło. Na ich miejsce wprowadzono około 30 tych pośledniejszych literatów czy dziennikarzy, o których wspominałam na wstępie. Właśnie w prozie było sporo tandety.

Gdzie tkwi przyczyna mankamentu? Czy w braku czasu na dobrą lekturę, czy w złym guście, czy w niedożądaniu za zdobyciami nowej doby?

Może przydałoby się urządzić na długo przed konkursem więcej spotkań z opiekunami recytatorów, a recytatorom przygotowującym się samodzielnie udzielać więcej porad w zakresie wyboru repertuaru. Może warto było nawiązać więcej kontaktów z aspirantami jeszcze przed dokonaniem wyboru, bo po jego dokonaniu pozostało na otarcie lez sama ewidencja... Może nawet materiały rozslane przez Centralną Poradnię Ama-

lepsze rozeznanie i sprawniejszą koordynację wysiłków.

Wiem, sprawa nie jest prosta. Do mety wojewódzkiej doszło 133 ludzi. Ruch na szczeblu powiatowym daje ich w sumie tysiące w jednym województwie. W całym kraju — dziesiątki tysięcy. Entuzjazm dla konkursów recytatorskich wzrasta z każdym rokiem. Trzeba się więc przygotować na to, że owo zjawisko radosne, ten fakt pozytywny będzie wymagał coraz większej troski o repertuar, którego właściwy wybór bardziej nawet niż artyzm wykonania przyczynia się do upowszechnienia i pogłębienia znajomości literatury — co przecież jest podstawowym założeniem konkursu recytatorskiego.

Jeszcze jedna mi się nasuwa uwaga w związku z repertuarem zaprezentowanym na tegorocznym turnieju wojewódzkim w Lublinie: niedostateczna została w nim uwzględniona twórczość Bolesława Prusa, którego pamięć powinniśmy uczcić specjalnie w tym roku pięćdziesięciolecia jego śmierci. Jeśli Warszawa przeoczyła tę rocznicę, to mielibyśmy sami obowiązek złożyć hołd pisarzowi na turniejach lubelskich, choćby z racji mocnej więzi łączącej Prusa z Nalęczowem.

W ogóle sprawa specyfiki lubelskiej też wymagałaby przemyślenia. Stanowczo za mało zainteresowano się w tym roku poezją Leśmiana i Czechowicza. A dlaczego nikt nie sięgnął np. do Jaworskiego, Mikulskiego, do naszych młodych? Z prozaików — mówię przykładowo — do Eugeniusza Gołbiewskiego, którego trzecia już dobra powieść wydał ostatnio „Czytelnik”.

Na tym kończą się moje — nie tyle zastrzeżenia, ile postulaty na przyszłość. Natomiast mam już teraz cały ogrom uznania dla organizatorów naszego IX wojewódzkiego turnieju re-

cytatorskiego. Dla Lubelskiego Domu Kultury, dla jego nieustającej, wielostronnej pracy. Jej to przede wszystkim zawdzięcza się sukces omawianej imprezy, który, mimo powyższych uwag o repertuarze, należy uznać za wielki. Szczególnie pozytywnym objawem jest dotarcie do wojewódzkiej mety dużej liczby miłośników recytacji z terenu. W pionie szkolnym stanowią oni ponad 67%. Pod względem poziomu wykonania nie tylko nie ustępowali mieszkańcom samego Lublina, lecz niejednokrotnie ich przewyższali.

Drugie niewątpliwe osiągnięcie — to wyraźny postęp w pionie amatorskim. Na turniej nasz stawiło się dwudziestu amatorów spoza Lublina: z Dominowa, Giuska, Końskowoli, Bełżyc, Puław, Kraśnika, Parczewa, Lubartowa, Włodawy, Hrubieszowa, Chełma, Białej Podlaskiej, Stryjna... Wśród tych miłośników poezji i prozy artystycznej znalazł się elektryk, krawiec, monter instalacyjny, księgowy, mechanik rolniczy, masarz, znalazła się wychowawczyni przedszkola, pielęgniarka, pomocnica domowa. Wiek ich wahał się od lat 17 do 56. I właśnie ta najstarsza recytatorka okazała się jedną z najlepszych.

Pogratulować WRZZ. I pogratulować Kuratorium, bo niekiedy optymistom rodzi też myśl, że nie tylko w miastach powiatowych młodzi poświęcają literaturze godziny pozaszkolne, ale i w Millejowie, Zakrzówku, Chodiu, Pszczelcu, Woli, Kluczkowicach, w Poniatowej, Międzyrzecu, Kijanach, Kocku, Wisznicach... Wszędzie, gdzie instruktor domu kultury, nauczyciel-polonista, bibliotekarka świetlicy umie i chce budzić zainteresowania sztuką.

Na ogólną liczbę 133 uczestników naliczyłam 19 osób pracujących samodzielnie, inne (zwłaszcza młodzież szkolna) korzystały z pomocy człowieka, do którego miały zaufanie. Takich opiekunów zajmujących się zawodnikami turnieju wojewódzkiego było aż 54. Ich też trzeba zaliczyć do szeregow entuzjastów literatury, rozslanych po całym województwie.

Gdy się weźmie pod uwagę nie tylko te „wojewódzkie” liczby, ale i całe rzesze ludzi młodych i starszych, którzy stawili się na turnieje powiatowe, a także otoczenie żyjące nadzieją na ich sukces, to poza wszelką wątpliwością przyjdzie się do wniosku, że konkurs recytatorski przyczynia się coraz bardziej do szerzenia zainteresowania literaturą ojczystą. Zapewne niedługo też będziemy czekać na nawiązanie ściślejszych kontaktów z całą postępową literaturą świata.

Maria Bechcyc-Rudnicka

## Nic co młode nie jest nam obce

# Ich ofensywa

1.500 studentów Białostockiej Akademii Medycznej to poważna siła, która musi się liczyć w życiu kulturalnym takiego miasta jak Białystok.

O tym, jaki jest udział studentów zarówno przy tworzeniu, jak i konsumowaniu dóbr kulturalnych, rozmawiamy z kol. Janem Szczepańskim — wiceprzewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP.

— Może najpierw porozmawiamy o tym, w jaki sposób studenci korzystają ze świadczeń kulturalnych dostępnych w Białymstoku?

— Przede wszystkim staramy się brać w miarę możliwości jak najaktywniejszy udział we wszelkiego rodzaju imprezach kulturalnych, których notabene mamy coraz więcej. Lojalnie zresztą przyznajemy, że organizatorzy starają się nam korzystać z tych imprez ułatwić. Wiedzą oni, że kieszeń studentka jest niezbyt zasobna i często ofiarowują nam bilety po cenach zniżkowych. Warto wspomnieć o tym, że zawarliśmy umowę z dyrekcją teatru, na mocy której za okazaniem karnetiku podstemplowanego przez Radę Uczelnianą każdy student może sobie nabyć w kasie bilet z 50% zniżką. Utworzyła się grupa koleżanek i kolegów licząca chyba ze 150 osób — nie opuszczają oni żadnej premiery. Mamy też takich, którzy systematycznie chodzą na koncerty symfoniczne. Z satysfakcją stwierdzam, że obie te grupy: teatromanów i melomanów wyraźnie się ostatnio powiększyły.

— A więc twierdzenie, że „studenci nie chcą” to tylko mit?

— Naturalnie. Na przykład bardzo popularne są stale koncerty muzyki poważnej, które odbywają się w naszej auli. Koncertują przeawadnie muzycy z Filharmonii Narodowej. Zawsze są tłumy podczas występów „Teatru Propozycji” w naszym Klubie. Doszło do tego, że każda nowa premiera tego teatru odbywa się właśnie u nas. Ostatni spektakl — to „Wielki Bobby” Gruszczyńskiego. Dzięki występom „Teatru Propozycji” zacieśnił się nasz kontakt z białostockim Teatrem im. Węgierki. Staramy się sprowadzać do Białegostoku zespoły studentów z innych środowisk. W tym roku gościliśmy „Cytrynę” z Łodzi, „Stodołę” oraz Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej. Oczywiście imprezom tym nadajemy charakter ogólnomiejski.

— Czy wasza działalność kulturalna ogranicza się do korzystania z tego, co już gotowe, co zrobili inni?

— Oczywiście nie. Staramy się o to, aby wnieść swój wkład w życie kulturalne. Mamy dwa zespoły muzyczne na zupełnie przyzwoitym poziomie. „Ambie” znają w całym województwie, a drugi, nowy zespół jest niewiele gorszy. Mamy niezły chór, dość liczny — 80 osób. Ostatnimi czasy chór nasz występuje razem z Białostocką Orkiestrą Symfoniczną. Nasz „Teatrzyk poezji” w zeszłym roku został wyróżniony w Koszalinie za inscenizację „Wita Stwosza” Gaićzyńskiego. Organizujemy przy współpracy aktorów własny „teatrzyk propozycji”. Od dwóch lat występuje ZMS-owski kabaret „Osesek”. Ostatni program zatytułowany „Dorastamy” bardzo się publiczność białostockiej podobał. Wszystkie te zespoły działają w oparciu o dwa istniejące już kluby: ZMS-owski „Herkules” i ZSP-owski „Co nieco”. Kluby są czynne cały tydzień. Można w nich potańczyć, pograć w brydża, posłuchać ciekawego odczytu i poczytać prasę.

— To wszystko blaski. A gdzie są cienie?

— Cienie też są. Najbardziej nas martwi to, że nie wszyscy studenci doceniają potrzebę rozrywki kulturalnej, i to, że o wiele aktywniejsi są studenci, którzy mieszkają w akademiku od tych z miasta. Te właśnie ci z akademika bywają w klubie, pracują w zespołach itd. Ten stan rzeczy chcielibyśmy zlikwidować.

— Czas wreszcie zapytać o plany na przyszłość, bo przecież wywiad bez tego pytania jest nieważny.

— Plany są interesujące. Chcemy przede wszystkim zorganizować studencki teatr dramatyczny. Bardzo by się nam przydał. Pragniemy, by społeczeństwo miasta bardziej aktywnie uczestniczyło w imprezach przez nas zorganizowanych. Zależy nam na tym, aby wszystkich studentów zainteresować problematyką kulturalną. Chcemy wprowadzić w naszych klubach stały cykl odczytów i dyskusji poświęconych sprawom sztuki. Przecież młody lekarz nie może interesować się tylko medycyną! No i nasze najskrytsze marzenie — chcemy jesienią (teraz to nie wyjdzie) zorganizować Juwenalia...

— A więc do zobaczenia na Juwenaliach, bo liczymy na to, że nas zaprosicie.

— Niewątpliwie.

Rozmowę przeprowadził: Jerzy Beker

CHOCHLIK PO RAZ...

Przepraszamy najmocniej p. red. Leszka Golińskiego za zamianę Jego imienia na str. 4 n-ru 7/8 „Kamień”.

# PUSTKA RODZI ZBRODNIĘ

(Dokończenie ze str. 13)

Byłoby to możliwe, gdyby mjr Trausen nie stał się w przedstawieniu rzeszowskim postacią pierwszoplanową.

Wydaje mi się, że intencją autora było ukazanie, iż pustka ideowa mieszczaństwa rodzi w pewnych sytuacjach zbrodnię. To właśnie „rozbudzeni” mieszczauchy ułatwili dojście do władzy Hitlerowi. Dlatego chciałbym widzieć mjr Trausena drapieżnym tylko wtedy, kiedy „demaskuje” obsesje mieszcuchów, a w innych monologach powinien być bardziej stonowany. Wtedy widz nie będzie miał wątpliwości, że początkami zła jest pustka ideowa.

Interesującą sylwetkę adwokata antyfaszysty odtworzył Franciszek Buratowski. Aktor umiejętnie podkreśla mentalność prowincjonalnego inteligenta, który mając do wyboru między uczciwością wobec prawa, a ratowaniem honoru miasteczka, nie waha się poświęcić swojej mieszczańskiej uczciwości. Świetnym typem

przegranego, ale mimo to pełnego tupetu, byłego pacholka hitlerowskiego — Schulca był Jerzy Witowski. Adam Fornal jako Kuno Gelehr — zyskał sympatię widowni umiarem środków aktorskich, dając nie przerysowaną postać domniemanego zbrodźcy. Edward Apa był charakterystycznym i naturalnie komicznym typem malomiasteczkowego policjanta. Można jedynie dyskutować, czy postać ta nie wylamywała się z konwencji całego przedstawienia. W miarę sentymentalną Hildę odtworzyła przekonująco Janina Węglianówna.

Marionetkowo potraktowane przez autora pozostałe role mieszcuchów, zwłaszcza para młodych: Lena Junge i Rudi Hagen przez niewłaściwe obsadzenie aktorskie tej pary — jeszcze bardziej zostały zubożone.

Oprawa scenograficzna Salomei Gawrońskiej utrzymana w ciepłych kolorach, nawiązująca do gustu mieszczańskiego — ułatwia widzom odbiór klimatu sztuki.

Edmund Gajewski

gdzie materia poetki otrzymała kształty bardziej indywidualne, odpowiadające lepiej dzisiejszej wrażliwości poetki. Oby te utwory wyznaczały przyszłe ścieżki Henryka Pajaka.

Violetta Szorc należy do bardziej czynnych przedstawicieli najmłodszego pokolenia poetki. Publikacje w poważnych tygodnikach literackich, nie mówiąc o prasie lubelskiej, wyrobiły jej pewien kredyt zaufania. Wzbudziły także nieufność, wywołane zupełnie nieliterackimi powodami. Nie chciano brać poważnie myślowej dojrzałości i intelektualnych doświadczeń młodzieńczej autorki. Wygodnie było uznać je za wtórność i wynik czytania. Czy tak jest naprawdę? Poemat o Sokratesie, drukowany kiedyś w „Kamieniu”, zastanawiał śmiałością nawiązania do myśli greckiego filozofa; pozwalał wnioskować, że nie ma u V. Szorc rozdziału między poezją a filozofią, że intelektualny dyskurs, rozważanie spraw ogólnych leży w zakresie jej dyspozycji pisarskich.

Poświadcza to najlepszy wiersz autorki „Siedmiokrąg”. Nie da się go odczytać na jeden sposób, określić, czy bardziej jest on przypowieścią czy traktatem filozoficznym. Ktoś może utwór ten nazwać niejasnym. Ale ta niejasność, nieokreśloność tworzy tu osobną, samodzielną wartość, wznaga przeżycie, jakie on wywołuje. Nie wszędzie jednak nieokreśloność można liczyć do zalet. Widać u autorki skłonności do języka zintelektualizowanego przy ograniczeniu roli wyobraźni. Obrazowanie jej wierszy — mimo widocznej dążności — nie ma dostatecznej siły, żeby zaatakować naszą wrażliwość i odczuwanie; brak im walorów malarskich, rzeźbiarskich czy muzycznych. Słowem choćby jednej z tych wartości, które decydują o przydatności obrazowania w poezji. Nieokreśloność i nijakość niektórych wierszy autorki stąd właśnie wypływa.

Oprócz „Siedmiokrągów” dobre nadzieje przynoszą także wiersze jak „Skok”, „Kwiat”, i „Van Gogh”. Jak na początek znak to — mimo wszystko — dobry.

Tomik „Promu” zamyka Nelly Zachajkiewicz. Odnosi się wrażenie, że jej wiersze są najbardziej wyklarowane i stanowią owoc wyobraźni żywej i pomysłowej, poddanej rygorom warsztatowym. Czuję się w tych wierszach jednolitą atmosferę wewnętrzną, którą tworzą dramatyczne konflikty i spięcia. Te konflikty zostały jednak opanowane, jakby przygaszone, stąd wyczuwalna powściągliwość i obiektywizacja liryki Zachajkiewicz.

Na jej utworach znać surową szkołę awangardy i to różnych odmian od Przybosia do Różewicza. Dramatyczna obrazowość „Granatów”, podana językiem ścisłym, wywodzi się z „Niepokoju” czy „Czerwonej rękawiczki”.

Przykład rekonstrukcji w połączeniu z adaptacją. Opis drewnianego budynku. Obecnie mieści się tu Muzeum Regionalne (t. artykuł „Sześć lat opieki nad zabytkami” na str. 14).



## PIĄTKA Z ULICY OLEJNEJ

(Dokończenie ze str. 3)

subtelnych jambów „Symfonii”. Dziś przyszła pora na inne wartości poetki. To, co proponuje Falkowski, może prowadzić do zgrabnych i sympatycznych stylizacji, może być udanym pastiszem, ale dalekie będzie od tego, czym żyje poezja współczesna.

Największą niespodziankę sprawił Henryk Pajak, autor ciekawych wierszy, którym nieobce były doświadczenia nadrealizmu, ani najnowsze poszukiwania poetki. W ich świetle ataki Pajaka na poezję Juliana Przybosia podczas spotkania młodych poetów w Warszawie wydały się uzasadnione i konsekwentne wobec własnych postaw. Dlatego wiersze Pajaka w tomiku „Promu” przynoszą zaskoczenie i rozczarowanie. Jak może atakować Przybosia poeta, który nie przeszedł jego doświadczenia, nie wyciągnął dla siebie wniosków z jego lekcji. Bo okazuje się, że większość wierszy Pajaka napisana została w konwencji poetki z epoki bardzo przed-Przybosiowej. Co mam na myśli? Najpierw cytaty:

Tak chciałbym młodszy być o życie  
[swoje,  
Na nowo zacząć, iść, gdzie się spodoba,  
A potem znowu wrócić tu, gdzie stoję,  
Abyś jak ten wiersz, ci sami byli  
[oba]

albo:  
Nad cichą powieką stawu co drzemał  
Runąłem głazem ogromnym i czekam —  
(Rzuciłem kamień)

czy:  
Tamte dni chlebne z wami  
[pokochołem,  
Z drogą kobietą kiedyś życie złącze,  
Jak dwie z jednego pnia wytrysła  
[brzozy,  
(Tamtych drzew)

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by powiedzieć, że mamy tu do czynienia z inteligentnym kontynuatorem Młodej Polski, ściśle tej postawy, którą zwykło nazywać się staffizmem. Mądrość przemijania, melancholijny optymizm, filozoficzna refleksja i zaduma, rozwinięte porównanie. Wiersze Pajaka dostarczają jeszcze jednego dowodu na rzecz tezy Kazimierza Wyki o odradzaniu się Młodej Polski. Dla poety to jednak zły punkt wyjścia, mało obiecujący. Pajak pokazał jednak i inne możliwości. To takie wiersze jak „Zal”, „Martwa natura” i „Leniwość”

## OBRĄZKI Z NASZEGO DOMU

WIESŁAW JANICKI

STRZECHA

Jakoś tak na jesieni zaczęło przeciekać. Więc zerwaliśmy z dachu słomę, a na to miejsce położyli papę. Niestety płama na suficie rosła i rosła, więc zerwaliśmy papę, a dach pokryli blachą.

Kiedy i to nie pomogło, zaczęliśmy szukać przyczyn. Po bliższym zbadaniu sprawy okazało się, że to nasz Jasio urządził sobie na strychu wychodek. Wobec czego Jasio dostał w tylek, blacha została zerwana, a dach na nowo pokryliśmy słomą.

SZTUKA

Siedział sobie dziadzio Inocenty na przyzbie. Coś myślał, nad czymś me-

dytował, aż wreszcie wstał i zaszedł do środka.

— Malować będę — powiada. Kupiliśmy dziadziowi dziesięć metrów koszulowego farby, wszystko, co należy. Pierwszy obraz zakupiło muzeum, a następnie w mig rozchwytały różne instytucje.

Dziennikarzy załatwił stryj Franciszek. On zresztą wymyślił, że artysta jest niespełna rozumu. I byłoby wszystko jak należy, gdyby nie to, że dorwał się kiedyś do dziadka jakiś dziennikarz na osobności.

— Wy sobie, dziadziu — zapytał — tak malujecie, malujecie, ale co wy właściwie malujecie?

— Ano — odpowiedział starszek — raj, znaczy się, utracony chciałem namalować. Tylko że nijak nie wychodzi. Będzie za dwa lata jak się męczę.

Dzisiaj już nie kupują obrazów dziadka. Powiadają że jego sztuka oderwała się od mas.

PROBLEM

W samą wigilię świętego Błażeja złowiliśmy nam się dziadus we wnyki na zajęcie. Leżał biedak coś z półtrzecia dnia, a że mróz był tegi, więc bliżej mu było do końca niż do początku, kiedysmy go wreszcie odnaleźli.

Powstał tedy problem natury moralnej. — Czy należy biedaka dobić, aby mu w ten sposób zaoszczędzić mąk, czy też zczekać, aż sam się wykończy. Bo jeśli sam to zrobi, wtedy ciała nie będzie można pochować w poświęconej ziemi. Z drugiej strony jakoś nieładnie dobić kolegą rodzony dziadka.

Po dłuższym namyśle wyjęliśmy dziadka z siodeł i zanieśli do domu gdzie go babcia napiła wrzątkiem z malinami.

Bardzo możliwe, że odtaje, a wtedy sam rozstrzygnie, jak mamy postąpić.

## Odpowiedzi Redakcji

Rysz. K. w Lublinie. Z „Poematu” nie skorzystamy. A po co Pan nam przysłał te pierwociny sprzed trzech i dwu lat?

W. S. w Lublinie. Dlaczego „maly czarownik kłat przez kawał szkła”? Jak wygląda „twarz powleczonego językiem”? „Tępy sek na wyschniętym samotniku haracz” — przewalając się przez życie — czy tu chodzi o wisielca? Hemingway to święty pisarz, ale po co w wierszu wzywać jego imienia nadaremno? Pisanie wierszy to z pewnością „godziwa rozrywka”, ale przecież nie zawsze muszą być drukowane. Niech się Pan nie sili na pseudonowoczesność i spróbuj pisać prosto, szczerze i z sensem.

Niepokoje tylko naleciałość powierzchownej egzotyki. O ile w „Zgliszczach” — wierszu dobrym — „pyłony zniszczenia” brzmią naturalnie, o tyle w „Filiżance” i „Lotosie” czy „Boa” egzotyka traci konwencjonalizm i pretensjonalność; przy tym egzotyka z drugiej ręki budzi zawsze wątpliwości i podejrzenia.

Cóż więc przynosi „Prom”, czy jest jakiś wspólny mianownik, by mówić o grupie poetki, jej załączku? Do tej pory można mówić jedynie o grupie towarzysko-organizacyjnej. W wierszach pięciorga jej uczestników nie ma zarysu płaszczyzny jednoczącej wszystkich, ani artystycznej, ani ideowej. We wszystkich są zaczątki innych dróg zaplecze innych tradycji. Zapewne różne będą i punkty dojścia. Czy to nie był przedwczesny debiut? Może i tak, należało poczekać na bardziej skrytykowane zapowiedzi. W końcu — jeszcze jedna książka poetki — której jedni będą się kiedyś wstydzili, a drudzy wspominać z sentymentem jako utrwalone ślad własnej młodości.

Tadeusz Klak

Prom. Jadwiga Białuś, Zbigniew Falkowski, Henryk Pajak, Violetta Szorc, Nelly Zachajkiewicz. Wydawnictwo Lubelskie.